

KUZNICA

Cena 25 zł -- 8 stron

Warszawa, 26 czerwca 1949 r.

Nr 25 (197) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

W NUMERZE:

Zb. MITZNER
R. KARST
W. WOROSZYLSKI
STENDHAL
nowy przekład J. Rogozińskiego
E. KORZENIEWSKA
J. ŻULAWSKI

Nie traktujemy wcale teorii Marksa jako czegoś zakończono-ego i nietykalnego, przeciwnie, przekonani jesteśmy, że za-łożyła ona jedynie kamień wę-gielny tej nauki, którą socjali-ści muszą posuwać dalej we wszystkich kierunkach, jeżeli chcą nadążać za życiem.
WŁODZIMIERZ LENIN

ADAM WAŻYK

Nieporozumienia malarskie

JERZY LAU

KONCERT
PAULA ROBESONA

OD FORMALIZMU
DO NIEDORZECZNOŚCI

ZYWO redagowane czasopismo studenckie „Poprostu” chciało zorientować czytelników w sprawach malarstwa. W trybie dyskusji udzieliło głosu wykładowcy, który podjął się nauczyć czytelników w kilku pogadankach, jak należy patrzeć na obrazy. Autor tych pogadek Lech Emfrazy Stefański z początku oświadczył, że dzieło sztuki może „działać samą formą” czyli „kolorem i kompozycją”. Przez słowo „kompozycja” L.E.S. rozumie wyłącznie formalny schemat kompozycji, niezależnie od tego, co się komponuje. Potem, nie chcąc uchodzić za formalistę, autor pogadanki oświadczył: „formalizm nie oznacza się wcale przeniesieniem zainteresowań artystów na stronę formalną dzieła sztuki, ale przeciwnie — całkowitym jej zaniedbaniem!” A kiedy już tak odwrócony na opak formalizm okazał się być naturalizmem, Lech Stefański wyobraził sobie, że mówi do działaczy z przedszkół i opowiadał studentom w uproszczonych słowach bardzo naukową dykteryjkę. Historia malarstwa w tej dykteryjce sprowadza się do szkolarsko-formalistycznego rozróżnienia, jakoby w pewnych okresach malarze komponowali, a w innych — nie. Według L.E.S. w w-z-ku dziedzielnym na ogół nie komponowano i prawie całe malarstwo jest bardzo złe, a kubizm jest dobry, bo komponował. Wszystko, co nie traci naturalizmem, L.E.S. uznał za wyzwolone „z pęt mieszczaństwa” i okazało się, że całe malarstwo z okresu imperialistycznego było akciem rewolucyjnym poprzedzającym rewolucję socjalistyczną. Potem już L.E.S. nie wytrzymał i zapędził się do ostatecznej niedorzeczności: „Sztuka potrafi wspierać i odzwierciedlać rzeczywistość, nawet nie czyniąc do niej żadnej wyraźnej aluzji”.

Wywody Lecha Emfrazy Stefańskiego zniecierpliwily czytelników. Studenci nie są tak naiwni, jak się to autorowi pogadanki wydaje. Na wywody L.E.S. odpowiedział „Poprostu” B. Wolny, przypominając mu, że malarstwo nie jest sposobem malowania, ale wyrażaniem w walce klasowej produktu kultury, formą świadomości społecznej, specyficzną dziedziną ideologii. Redakcja „Poprostu” zapowiada dalsze artykuły Wolnego na temat malarstwa. Pociaszamy się, że nie będzie on miał trudnego zadania, jeśli idzie o uwolnienie naszych studentów spod sugestii Lecha Stefańskiego. Postępowa część naszej młodzieży akademickiej, kierując się zdrowym instynktem społecznym, napewno będzie szukała w malarstwie czego innego, niż jałowy teoretycy formalizmu. Studenci im nie uwiarzą. Czy przestana narzeczcie wierzyc tym smutnym teoriom — sami malarze?

DOBÓR TRADYCJI

L. E. Stefański dał przykład oplakano-go, zawstydzającego stosunku do kultury narodowej. Sarkając na wiek XIX, nie raczył nawet zauważyć, że w tym właśnie wieku narodziło się i rozwinęło malarstwo narodowe w krajach, które na skutek specyficznych warunków społecznych były pod względem plastycznym upośledzone. Do tych krajów należała Polska. Do tych należała też Rosja. Malarstwo narodowe narodziło się powtórnie, bo w kraju Wita Stwosza i w kraju Rublowa mecenat magnaterii nad sztukami plastycznymi, spono-bujący się na sztuce cudzoziemskiej, przez całe stulecie hamował rozwój malarstwa. Dzisiejsza orientacja L.E.S. bardzo przypomina naszą dawną magnatów. W przeglądzie XIX wieku L.E.S. nie znalazł miejsca dla Matejki, Aleksandra Gierymskiego, Michałowskiego. Nie znalazł miejsca, bo ci malarze nie mieszcza się w jego systemie. Owszem L.E.S. proponuje nam dobór tradycji narodowej, ale jakiej? Naj-wybitniejszym malarzem polskim ma być... Stanisław Wyspiański. Wątpię, czy któryśkolwiek z dzisiejszych naszych malarzy, mających coś do powiedzenia w plastyce, zgodziłby się na taki wybór tradycji. Ale w poglądach L.E.S. ujawnia się pewna konsekwencja gustów, która powinna ostrzec malarzy przed całym systemem wartości, wynikającym z formalistycznych założeń. Wstydlivy wielbiciel secesji, który chciałby się ponoć odzegnać od „mieszczańskich gustów”, postawił kropkę nad i. Nie tak daleko odeszli wielbiciel „wyzwolonej linii” od tej manierycznej secesji, przeciw której trzydzieści lat temu podnosili rokosz. W schyłkowej kulturze jest zawsze sporo miejsca na kłótnie rodzinne. Można kłócić się drepcąc na miejscu.

„W czasie, gdy malowało się u nas wyłącznie obrazy anegdotyczne, malowaną historiozofię i tzw. „podobne” portrety — jeden Wyspiański pokazał, co to właściwie jest malarstwo”. Uwielbienie L.E.S. dla Wyspiańskiego, ciekawego grafika ale nie malarza, jest wprost proporcjonalne do jego pogardy dla Matejki. Pisałem już wiele razy o tym, jak płytkim, antyhumanistycznym wybiegiem jest nazywanie „anegdotą” tych wzorów wyobrażeń-wych, których malarstwo dostarczało kul-turze narodów. Zdejmuje się, że złośliwy upór

formalistycznych estetych przebiera już miarkę. Myślą, że to w „dobrym tonie” — swawolnie jechać sobie na Matejce. A jednak przysięgam, że nawet Lech Stefański cieszył się z odnalezienia „Grun-waldu”. My, malujący ludzie tego kraju, wiemy, dlaczegośmy się cieszyli. Niech nam powie L.E.S. — dlaczego on także? Przecież wiadomo, że „Grunwald” jest dla skomponowany. Co gorsza, jest „malowa-ną historiozofią”. Więc z czego się cieszył L.E.S.? Z tego, że odnaleziono kawałek płótna?

Nie można mieć innej oceny dla sztuki, a innej dla podstawowych uczuć, kieru-jących naszym życiem. Prości ludzie, lu-dzie, którzy budują życie, takiego odróż-nienia nigdy nie przyjma.

„WYZWOLENI Z PĘT
MIESZCZAŃSTWA”

Zupełnie dowolne konstrukcje idealistyczne na temat dzieł malarstwa ja-kos już nie uchodzą L.E.S. starał się po-wiązać malarstwo z rozwojem życia spo-łecznego, ale w sposób bardzo swolisty. Niestety, ten sposób myślenia jest jeszcze dość rozpowszechniony wśród naszych malarzy. Warto go wyłożyć, aby ukazać ukryte w nim nieporozumienia.

L.E.S. dostrzega klasowy charakter roz-woju społeczeństwa, widzi walkę klasową, ale tylko do wieku XIX. Widzi ją na tym odcinku historii, kiedy burżuazja walczyła z feudalizmem. Dostrzega oblicze tej wal-ki w malarstwie. W wieku XIX nie widzi już ani walki ani klas społecznych. Dla wieku XIX i XX, bodaj że aż do manifestu PKWN, wytwarza sobie jakiś fikcyjny o-braz społeczeństwa, w którym istnieją dwie grupy: „mieszczaństwo” i artyści. Mieszczaństwo — to ludzie, którzy mają gusta naturalistyczne, pompierskie, cu-kierkowe. Malarze, którzy tych gustów nie posiadają, natomiast gustują w romantycz-prądach, od impresjonizmu do surreali-zmu, stają się w pełni tego słowa zna-czeniu — rewolucjonistami. I otóż przykra niespodzianka. W tym pustym świecie, gdzie oprócz „mieszczaństwa” i artystów nie było nikogo i nie się nie działo, ni stąd ni zowąd objęła władzę klasa robotnicza i chce się ukonstytuować jako naród. Ma przy tym swoje humanistyczne aspiracje i zwraca się do artystów, aby im służyli w imię rewolucji. Artysty są zdziwieni — przecież oni właśnie byli rewolucjonista-mi, oni walczyli z „gustem mieszczań-skim”, oni byli tu pierwsi, kiedy jeszcze nikogo nie było. Rzeczywiście, w tym pu-стым świecie iluzji nie było nikogo. Tylko że tak pomyślany świat przeszłości, bez burżuazji i proletariatu, jest beztróskim snem artysty, usypiającą bajką, która nie ma nic wspólnego z historią XIX i XX wieku. Malarze, którzy wierzą w tę bajkę, i L.E.S., który ją powtarza, nie zdają so-bie sprawy, kto w nich te bajki wpoił, kto ich uspił. Ale mogliby znaleźć na to łatwą odpowiedź. Rozważania o rozwoju życia społecznego, w których nie ma dwóch podstawowych walczących z sobą sił z ostatnich stu lat historii, nie ma burżuazji — tej wielkiej, a nie drobnej — i nie ma proletariatu, z pewnością nie pochodzą z lęku przed proletariatem. Dlatego klasa robotnicza tłumaczy cierpliwie artystom, aby otrząsnęli się z oparów tej bajki.

TOPOGRAFIA GUSTÓW

O gustach można i należy mówić, jeśli dostrzega się w nich przejaw świadomości klasowej. W zmyślonym pustym świecie, w którym jest tylko „mieszczaństwo” i artyści, walka gustów zastępuje walkę klas. Przy bliższym przyjrzeniu się tej ilu-uzji — widać wyraźnie, że pod ogólnikową nazwą mieszczaństwa występuje w tych rozważaniach drobna burżuazja. Czyj właściwie gust reprezentują artyści bun-tujący się przeciw jej gustom?

Nasze drobnomieszczaństwo miejskie i średnie obszarnictwo wyznawało gust naturalistyczny, zachęciarski, zmurkowy, u-lański i krowi. W latach międzywojennych malarze uprawiający styl impresjonistyczny lub „awangardowy” znajdowali nie-licznych odbiorców wśród bardziej „eu-ropejskich”, przedstawicieli burżuazji prze-myślowej, finansjera i związanych z tą klasą urzędników. Fakt, że nie raz rady-kalny inteligent kupował „awangardowy” obrazek znajomego malarza wbrew oficjalnym „mieszczańskim” gustom, widząc w tym postępek akt sympatii rewolucyj-nych, nie zmienia społecznej topografii gustów. Zresztą w stosunkach polskich gusty układały by się swoiście, na mo-dę, peryferyjną i półkolonialną. Jasny, przejrzyisty obraz widzimy w metropol-iach kapitalistycznych. We Francji gust drobnomieszczański obejmuje nie tylko malarstwo pompierskie i naturalistyczne, ale impresjonizm również. I co na to powie nasz Lech Stefański, dla którego rozbrat z gustami rzemieślnika czy hote-larza jest miarą postępu i niedawnie re-wolucyjności w malarstwie? Impresjonizm „wyzwolił się z pęt mieszczaństwa”, a mieszczaństwo pogodziło się z tym w najlep-sze. Natomiast bazą odbiorczą malarstwa „modernistycznego” jest wielka burżuazja, finansjera. Podobnie, jak nasza burżuazja, była bardziej „europejska” od drobnom-ieszczaństwa, tak bankier francuski jest bardziej „światowy” od handlarza wln. Najbardziej „światowy” okazał się bankier amerykański. „Gust modernistyczny” zo-stał po prostu wykupyony przez Amerykę. Przedtem sprowadzano obrazy z Paryża, teraz jeszcze bardziej „surrealistycznie” maluje się w Ameryce. Usynowiono sztu-kę abstrakcyjną, uznano, że przez pomył-kę narodziła się w Europie. Nic w tym dziwnego. Sztuka tego pokroju na pierw-sze zwołanie może zmienić kraj i ojczy-znę.

Tak wygląda topografia gustów. Co-prawda, w krajach kapitalistycznych klasa robotnicza nie ma możliwości rzucenia na szalę własnego, narodowego gustu, bo nie stanowi bazy odbiorczej dla malarzy, a tam, gdzie dochodzi do głosu, oświadcza wyraźnie, że malarstwo bez człowieka nie odpowiada jej humanistycz-nym aspiracjom.

Lepiej więc, żeby abstrakcyjniści nie stawali sprawy od strony gustów. Wcale to dla nich nie wygodne, a dla nas zbyt uproszczone. Nie zjemy w czasach Bal-zaka — od dawna już bankierzy nie po-dzielał gustów rzeźnika, kupca galante-ryjnego, czy drobnego przedsiębiorcy. Na-łwini artyści ciągle z nienawiścią wpatry-wali się w papek drobnego mieszczaństwa, który nigdy nie był pępkiem świata kap-italistycznego. Nie ono wytwarza panu-jące ideologie, podstawowe tendencje w

filozofii, kulturze i sztuce, nie ono urabia gusty w okresie imperializmu.

WŁASCIWE PĘTA — KRYZYS
KULTURY

Kawałek płótna na sztaludze i farby brane z palety mogą służyć rozmaitym ce-lom, a ilekroć malarz staje się wyrazicie-lem tęsknot i dążeń klasy wstępującej, tylekroć malarstwo zaczyna tętnić boga-tym treścią ludzką, ziemską, emocjo-nalną — poznawczym stosunkiem do czło-wieka i przyrody, właściwą danej klasie oceną moralną świata, właściwą jej ska-lą wartości duchowych. Tak niegdys wniosła swoją treść humanistyczną i wolę poznawczą, swoją koncepcję ziemskiego piękna — burżuazja, kiedy była klasą po-stępową i rozkwitającą. Ambicje human-istyczne i poznawcze klasy robotniczej są znacznie większe, bez porównania pełniej-sze od owych ambicji, które znalazły swój wyraz w malarstwie narodów europejskich od późnego średniowiecza do połowy XIX wieku. Niektórzy malarze chcieliby prze-konać widzów, że sztuka malowania na płótno nie zawsze skończyła swoją karie-rę humanistyczną. Nikt nie ma moralne-go prawa w to uwierzyć. Dzisiejsze trud-ności i nieporozumienia wynikają stąd, że między okresem rozkwitu treści human-istycznych, wniesionych niegdys do malar-stwa przez burżuazję, a chwilą, w której zwycięska klasa robotnicza występuje ze swoimi aspiracjami humanistycznymi, leży pokazy szał kilkunastu lat malar-stwa, w których treść ludzka, zainteresowa-nie dla bytu, pasja życia i wola prawdy wy-błąkała, rozproszyła się, zanikła. Zerwa-nie z rygiem moralno-uczuciowym sztuki realistycznej w impresjonizm, oderwanie wyobraźni malarskiej od porządku ziem-skiego i ta kulturalnego w kubizmie i malarstwie „wizji lirycznej”, separacja od wszelkiego związku z wyobrażeniem bytu realnego, zerwanie z cieniem cienia rze-czywistości w sztuce abstrakcyjnej, te ko-lejne etapy od przekwitnięcia humanisty-ycznej treści aż do rozwiania ostatecz-ne-go kryzysu w kulturze świata kapital-istycznego — wciąż jeszcze w oczach wielu postępowych, ale naiwnie myślących ma-larzy uchodzą za „rewolucyjną walkę z gustami mieszczańskimi”.

Można rozmaicie mówić o postawie ma-larzy, którzy znaleźli się w tym nurcie rozbiścia, o postawie negacji, rokoszu, o ucieczce od świata, zawsze to będzie po-stawą jednostki zagubionej w świecie im-perialistycznym, uwięzionej w tym kry-zysie. W ostatecznym obrachunku — czyją orientację wyraża malarstwo tego typu, czy orientację sił postępowych, które szu-kają w sztuce prawdy i wiedzy o świecie, czy sił wstecznych, którym miła jest nie-wiedza, ślepota, milczenie o świecie? Sztuka rezygnująca z ambicji poznaw-czych i oceny moralnej jest produktem tendencji ideologicznych narzuconych arty-ście przez klasę panującą w okresie im-perialistycznym. Tylko silne związanie z masowym ruchem rewolucyjnym może wyprowadzić go z tego kryzysu, do sprze-czności między jego nienawiścią do świata kapitalistycznego, a tendencjami, które wyraża w swojej sztuce. Nienawiść do klas

(Dokończenie na str. 2)



Felician Kowarski — Górnik Pstrowski

W koncertowej sali lady czyta program, i uśmiech w lustrze poprawia i wiesy. Brylanty ma w oczach, w sercu, na palcach. — Chronią ją znakomicie przed ludzkim uczuciem. Lady jest modelką de-lara Wall-Streetu. Kiedy mruży oczy mówi ironicznie: „Pieśni murzyńskie to gorzkie owoce czarnej miłości i krwawego lynchu”.

A czarny Caruso goniący blaskiem ziemi oczyszczonej czeka na estradzie i słucha orkiestry, słoneca, wody i ziemi stanu New Jersey. Pasterzem w sawannach lasso zatacza kręgi — jak w wodzie. Żar. Niebo chłodne jest tylko w dżbanie, a pęt na czole — jedną rosą.

Wieska rodzinna z bambusowej trzciny, i wargi matczyne szorstkie jak krawędź glinianego naczyńca z garstką kukurydzy. Dzieci wesoło bawią się w lynch. Czarne kukielki tarzają się w piasku i stają na palcach nie mogąc dotrzeć do przerażonej gałęzi.

A nocą, gdy zasną, rzeka drapieżna skrada się wśród drzew. Czujne wiosła wiodą drwali w tropikalną noc. Czasem krzyk przerywa ciszę — i ginie w uścisku węża. Wtedy palma drży samotna jak trwożna dziewczyna.

— Piękna Leah czeka jak zawsze przed miedzianym zwierciadłem słońca. W jej uszach pachną kelczyki z anemonów, gdy naga w noc wybiega i żar skóry łagodzi olejkami kszycyca. — Pewnego dnia marynarze sprzedali ją w Rio razem z brazylijską kawą.

Włec głos śpiewaka jak nóż w ręku błyska biednego nianigo. Czarni dźwigali kamienie na posąg nieswój wolności, dla której gwiazdy skradziono niebu — business made in America.

Słońce czerwone nad kopalnią złotą, gdzie krew murzyńska w mokraj gline wsiąka gdzie stary John pluje złotą siłną i walczy o wolność ziemia Lincolna. Strajk na kopalni. Z szymbów czerwony wyrabują dziś węgiel, — a lady czyta program i uśmiech w lustrze poprawia i wiesy.

Płonie lucywo głosu Paula Robesona i dzieł walkę o pokój — jak kawałek chleba, by ludzie mogli myśleć o ojczyźnie: „Ja drugiej takiej strony nie znaju, gdzie tak wolno dyszyć człowieka”

ZBIGNIEW MITZNER

SKIWSKI, BURDECKI I INNI

NIEOBEĆNOŚĆ obu głównych oskarżonych na ostatnim krakowskim procesie o zradę narodu bynajmniej nie pomniejsza jego znaczenia. Raczej przeciwnie: uogólnia, pogłębia wymowę omawianych faktów. Gdyby w procedurze naszej istniał styryczy wykonywania wyroków „in effigie”, to doprowadzenie do więzienia kukiel wyobrażających Skiwskiego i Burdeckiego nabrałoby znaczenia głębokiego symbolu ukarania i rozprawienia się nie tylko ze zbrodniami tych ludzi, ale i całych środowisk, które oni reprezentowali i powiadamy to sobie otwarcie — ideologii, która do dziś reprezentują.

Obaj redaktorzy „Przełomu” milczą, ukrywają się oczywiście przed Polską i przed jej wymiarem sprawiedliwości, ale nie przed tymi, co udzielają im gościnny i poparcia. Dokładny ich adres jest nieznany. Ogólny wiadomy: bez obawy popnienia omyłki można do nich adresować „gdzieś w kraju paktu atlantyckiego, gdzieś w kręgu zjednoczonej Europy, Churchill, Bevin i Spaak”. Nie w tym nie ma przypadkowego, w tym azylu Skiwskiego i Burdeckiego, podobnie jak nieprzypadkowa była afera Eislera.

Wyrok sądu Rzeczypospolitej zakończył tę sprawę, gdy chodzi o odpowiednie paragrafy kodeksu karnego i innych przepisów prawnych, złamanych przez oskarżonych. Ale w opinii publicznej casus Skiwskiego i Burdeckiego dopóty jeszcze wyczerpany nie zostanie, dopóki nie będzie odkryta cała genealogia tej zdrady i jej aktualne konsekwencje.

Powiadają niektórzy: „Możemy być dumni, że w Polsce nie było Quislinga”. Ja bym trochę zmienił to zdanie i zapytał raczej: „Dla czego w Polsce nie było Quislinga?”. No bo powiedzmy sobie szczerze — kandydatów nie brakło. Studnicki, Skiwski, Burdecki, Goetel, Brochowicz - Kozłowski, i były premier Kozłowski, i Hofmokr - Ostrowski — ci wszyscy razem wzięci to mogło być weale niezłe polskie Vichy. Mogli być i rząd, i senat z kilku biskupami na czele (z tymi, co to nawoływali do uczciwej pracy dla Wielkiej Rzeczy) i „historycznych” nazwisk też by nie zabrakło obok przedstawicieli ziemiaństwa, przemysłu i w ogóle sfer „dobrze myślących”.

Ala do tego wszystkiego nie doszło. Skończyło się na licznych memorialach, na podróży do Katynia, na kilku smutnych pismkach, na paru enuncjacjach w „Nowym Kurjerze Warszawskim”. Bo dla kolaboracji trzeba — jak samo słowo wskazuje — obustronnej woli współpracy, a ci Niemcy, którzy zdobyli Polskę w roku 1939, nie mieli weale ochoty wstąpienia w ślady Beselera. 10 września 1939 roku Adolf Hitler takie dawał dyrektywy Frankowi w sprawie rządu Generalnego Gubernia:

„Ten kraj, przynależny do Rzeczy Niemieckiej, ma specjalne zadania. Należy skończyć z Polakami za wszelką cenę. Obszar ten jest powołany do tego, aby był rezerwuarem robotników w pełnym tego słowa znaczeniu. Mam tu jedynie gigantyczny obóz pracy, gdzie wszystko, co oznacza władzę i samodzielność, spoczywa w rękach Niemców”.

Rasizm był bronią ideologiczną hitlerizmu. Ale nie popielającym błędem, osadzając czynnych wodzów Trzeciej Rzeczy jako ludzi, którzy swe interesy kładli na oltarz obłąkanych teorii. Gdy było trzeba, potrafili oni i Japończyków, i Finów, i Węgrów obdarzyć dyplomami honorowych arcyżyciów. Wydaje mi się, że linie postępowania hitlerowców wobec Polaków wyznaczała nie zasada o niższości rasowej, ale trzewna ocena polityczna, oparta na przekonaniu, że kolaboracja typu francuskiego czy też norweskiego nie da tutaj pożądanych rezultatów. Oczywiście w okresie wojny.

Wydaje mi się, że dzień, w którym Adolf Hitler przemawiał w Alejach Ujazdowskich defiladę swoich wojsk, nie był dniem pobudzenia dumy współdziałania pewnej części społeczeństwa polskiego z narodem „socjalizmem”, ale przeciwnie — dniem upadku tych tendencji. Kolaboracja w Polsce zaczęła się o wiele wcześniej i rozwijała się pięknie kiedy indziej.

Mam na myśli nie tylko urzędowe kulkoletnie współdziałanie rządów Piłsudskiego i Rydza - Smigłego z rządem berlińskim. O wiele głębszy problem stanowi głębokie ideologiczne współdziałanie sanacyjnego, i endecko - oenerowskiego obozu z hitleryzmem. Nie dziesiątki ale setki dzienników i czasopism na ohohtnika w Polsce lat 1933 — 1939, żeby nie osiągnąć dalej wstecz, stało na usługach Goebbelsa, sprawnie propagując idee führera i Rosenberga w naszym społeczeństwie. Nie mam pod ręką wielu źródeł, ale na chybił trafił ślegam do kompletu „Prosto z mostu” z roku 1939 i cytuję z jednego, z tego lipcowych numerów owego straszego dla Polski roku:

„Jewsckty stały się drożdżami niemawości obopólnej (to znaczy mówiąc mniej makaronczynie: Żydzi stali się

drożdżami nienawości polsko - niemieckiej). Sami Polacy rdzenni byłiby żyli z Gdańszczanami w słomianej zgodzie. Polacy zaś solidaryzujący się, identyfikujący się i broniący Jewsektów stali się rasowo rozbudowanym Niemcom czymś koszmarnie niepojętym, niewytłumaczalnym, groźnym. Publicysta, który od 30 lat zajmuje się tym problemem dość intensywnie, wie najdokładniej i najściślej, że jeżeli wojnę o Gdańsk mieć będziemy, zadździemy to w 50 procentach tym 10.427 Żydów, których statystyka gdańska notuje w r. 1913”.

Tak brzmiała nad Wisłą hasła, które wiodło później francuskich kolaborantów. Tamci rozbrali lud francuski wolańiem, by nie walczył w obronie polskiego Gdańska, ci zaś — że Gdańsk to sprawa żydowska. U źródeł klęski wrześniowej doszukaliśmy się wszystkich przyczyn gospodarczych, politycznych i wojskowych. Za mało uwagi poświęciliśmy roli, jaką kolaboracja ideologiczna odegrała w rozbrojeniu Polaków w obliczu hitlerowskiego ataku. W tej perspektywie nie ma istotnego znaczenia ani podziemna walka Stanisława Piaseckiego ani polityczne nawrócenie się Mosdorfa w Oświęcimiu,

WIKTOR WOROSZYLSKI

POŻEGNANIE

Niedługo świat z powrotem w gardło wlotczy wyznania, co nie padły.
Więc cóż? Obawa? Gorycz? Złość?
— Zycia się nie przegrało w karty,
ani dzierlatkom nie rozdało!

Dąbrowski czeka. Jest przytomny.
...Wróć fruńcie, niby ptak, spod powiek —
i ciemność. Później słuch, a po nim
utraci wagę swoją ciało,
myśli na zawsze przerwa wyścig...
Więc pospójcie, pospójcie, by do końca
domyślić nieskończone myśli.

— Żegnam was, żono i synowie,
żegnam, koledzy, przyjaciele,
żegnam, rodacy, cudzoziemcy —
może za lat — kto wie? — niewiele
nie będzie cudzoziemców więcej
na pięknym świecie, który żegnam,
lecz sami swoi, bo choć różny
język, lecz jedna myśl człowieka
wyzwalonego — a kwiat róży
czerwony jest i krew czerwona,
a najczerniejszy woliński sztandar,
zaś barwy tej nie zmnie żądna
woda. A krew przelana nowa
wzmocni ją — barwa ta, co boli,
wytryśnie nad dachami stolic:
zwycięstwu! Miłość! Oto mowa
czerwieni, robotnikom znana —
ta mowa jedno znaczy dla nas!
...A może to już majaczenie,

Dąbrowski patrzy: przyjaciele
całego życia — jak ich dużo!
— Wroblewski, Heidenreich, Chmieleński
i Vermorel i Delescluze,
Potiebnie... Żywi i umarli
przechodzą — cienie, cienie, cienie,
Jednacy tym, że jak kochali
mocno, tak mocno ich nienawidzi
zła — więc ich wspólny ogień trawi...

Fragment poematu pt. „Noc Komunarda”, który niebawem ukaże się nakładem Biblioteki Poetyckiej Domu Wojska Polskiego.

Nieporozumienia malarskie

(Dokończenie ze str. 1)

przekwitłych i zwyrodniałych jest uczuciem słuszym. Pełne, jasne i piękne staje się to uczucie dopiero wtedy, kiedy uzupełnia je miłość do klas wschodzących, do ich treści i ambicji humanistycznych.

W dzisiejszej fazie istnieją już wyraźne możliwości wyrwania z tego kryzysu nawet malarzy pracujących w krajach kapitalistycznych. Militarne, polityczne, moralne zwycięstwo kraju socjalizmu, pekanie ogniw imperializmu światowego w krajach demokracji ludowej i w Azji, silny masowy ruch rewolucyjny w zachodniej Europie stwarza nawet i tam nową sytuację moralną dla ludzi sztuki. Pierwsze odruchy, pierwsze próby przejścia na tory sztuki realistycznej, odszukania w kulturze narodowej właściwych tradycji humanistycznych, budzą się w tej chwili we Francji.

Sytuacja malarzy u nas jest inna, przejaśniona, wolna od czynników zewnętrznych, które wywołują sprężność wewnętrzną w kulturze okresu imperialistycznego. Malarstwo w kraju demokracji ludowej ma wszelkie szanse na to, aby stać się znowu sztuką ziemską i dawać wzorce wyobrażeń człowieka w nowych rodzajach się formach bytu społecznego, ująć obraz człowieka i przyrody w nowy system wartości moralnych, znaleźć nową koncepcję piękna w charakterze, dynamice i stylu życia. Kto zamiast tych perspektyw rozwojowych proponuje malarstwu nie wiedząc o świecie, ślepotę i milczenie, kto chce przekonać malarzy, że to milczenie jest złotem, że „sztuka potrafi wspaniale oddawać rzeczywistość, nawet nie czyniąc do niej żadnej wyraźnej aluzji”, że bezprzedmiotowy i abstrakcyjny „komponowanie” jest najwyższym wytworem malarstwa, że zastępowanie konkretnych spraw bytu ludzkiego abstrakcyjno - technicznymi spekulacjami i planowaniem talentu malarzkiego w bezprzed-

miotowej magmie niesprawdzalnych uczuć i nastrojów ma być pastyczną formą nowej świadomości społecznej, nie niezależnie od swoich intencji staje się prosto zawalidra, obłąkanym drożdżnikiem przedstawiającym ambicje malarzy na ślepy tor, likwidatorem malarstwa. Widzianiem obrazy domorosłych abstrakcjonistów, którzy chwają się, że przy pomocy linii i kolorów wywołują uczucia optymistyczne, a że optymizm jest właściwy światopoglądowi socjalistycznemu, więc oni są przedstawicielami socjalizmu w malarstwie. Bardzo mi to przypomina tych wspaniałych reformatorów, którzy twierdzili, że klasa robotnicza nie musi przejąć fabryk z rąk kapitalistów, że wystarczy zamiast tego pomalować ściany fabryk na kolor różowy, bo to jest kolor optymistyczny i daje radość życia.

Między takim „socjalizmem malowanym” a malarstwem socjalistycznym jest przepaść ideowa.

NA WŁAŚCIWYCH MIEJSCACH

Blisko rok temu na wystawie wrocławskiej spotkałem malarza, który powiedział mi z tryumfem: „Nie mielibyśmy tak pięknej wystawy, gdyby nie było eksperymentów malarskich. Niektóre, na pozór bezsensowne doświadczenia malarskie znalazły tu sensowne zastosowanie w tabelkach statystycznych, w obrazach graficznych itd.”. Ten malarz zadał mimo woli największy cios abstrakcjonistom. Jeśli to ma być jedyną racją bytu ich malarstwa, to wydaje mi się, że w gmachu polskiej kultury malarskiej trzeba by się znaleźć gdzieś w bocznym skrzydle, pod strzechem, w odpowiednim gabinecie z napisem: „Doświadczenia malarstwa pomocnicze”. I po całym krzyku! Obawiam się tylko, że byłoby to pułki gabinet. Nie zajrzalby tam nikt z odwiedzających i żaden malarz nie wywisłby tam swojego obrazu.

Mówił mi kto inny: „Może to prawda, że malarstwo odeszło od treści humanistycznych, ale czy w zamian za to nie wzrosło nieoczekiwanych wartości dekoracyjnych?”. Nie można wartości dekoracyjnych braci „w zamian za to”, co jest istotną ambicją malarstwa jako sztuki wyobraźniowej. Ten typ malarstwa, który ma wartości dekoracyjne, musiałby przedtem przyznać się do własnej istoty, wyzbyć się pretensji do stania się czymkolwiek innym, do wyrzeczenia sztuki humanistycznej, uwolnić się od pretensji do subiektywnego „odczuwania rzeczywistości”, zająć właściwe miejsce marginesowe. Element dekoracyjny na prostokącie płótna czy kartonu może być miłą ozdobą na ścianie, aniżeli szlak wymalowany pod sufitem, ale niechże ten prostokąt nie prowadzi wojny ideowej z aspiracjami sztuki humanistycznej, nie hamsi tendencji realistycznych, nie zakłóca głównego nurtu malarstwa.

Na ambitych malarzy czeka nurt główny i tu będzie się rozgrywała właściwa walka o styl polskiego malarstwa mówiącego do ludzi o ludziach. Są malarze, którzy obawiają się, że w tym nurcie gotowi rozpanoszyć się zmurkownicy, ulani, krowiarze, odgrzewacze monachijskich sosów. Gdyby miała się wytworzyć tak nieprawdopodobna sytuacja, mogłoby to być tylko winą tych, co w walce o malarstwo rodzącego się socjalizmu w Polsce chcieliby stanąć na uboczu i ograniczyć się do roli sarkających obserwatorów. Ale ja w to nie wierzę. Nie wierzy w to nikt, kto z głębokiego nurtu rzeczywistości czerpie wiarę w kulturę i malarstwo polskie. Malarstwo polskie stać na co innego. Wierzę, że przyjdą do głównego nurtu dobrzy malarze, wyzoleni nie tylko „z pięć mieszczanstwa”, ale i z pięć strukturalnego kryzysu kultury w okresie rozkładu kapitalizmu.

Adam Ważyk

tak samo jak niewiele mogły zmienić ostre, antyhitlerowskie inwektywy rzucane w czasie okupacji w kawarnianych rozmowach przez autora wyżej cytowanych słów — Adolfa Nowaczyńskiego. Zmiana ich postawy pod naciskiem okoliczności z natury rzeczy docierała do wiadomości bardzo ciasnego grona ludzi, podczas gdy idee i hasła, które głosił przez wiele lat, żyły nadal w pewnej części narodu, wpływając na jego postawę, na jego postępowanie.

„Mea culpa” tych ludzi, ich najszczersze nawet dążenie do zniżania swych błędów nie mogły wpłynąć na stosunek tak długo przez nich urabianej części społeczeństwa do młodzieństwa Żydów, do wojny niemiecko - radzieckiej, do działań lewicowych. Hitler nie potrafił odrobić tych spustoszeń moralnych i politycznych, których faszcyści polscy dokonali pracą wielu lat.

Hitlerowcy sądzili, iż dzieło tych ideologicznych ich kolaborantów jest tak trwałe i głębokie, że żadna inna kolaboracja nie jest im potrzebna. Dlatego ze smiechem odrzucali szanistne memoriały Sudeckiego i dlatego dopiero w obliczu swej klęski spozrzegli, że się pomylili. Dlatego w pierwszym okresie swego panowania zadawali się małą kolaboracją szpicłców, gospodarzą współpracą części drobnonieszczęsta przy likwidacji majątku żydowskiego, podjęli kolaborację z działaczami i organizacjami postępowymi, współpracą aktorów i pismaków podrzędnego autoramentu, stwarzających na ich komendę pozory życia kulturalnego Generalnej Gubernii.

I dlatego właśnie gwiazda Burdeckich i Skiwskich wschodził wówczas dopiero, gdy nadchodziła klęska Niemiec. Ale wywodzi się oni nie z mroków okupacji. Nie są to tylko mętne głowy, którym się zawróciło w okresie wojny. Są to kontynuatorzy kolaboracji czasu przedwojennego. Przypomnijmy sobie genealogię tych ludzi, aby z niej wysnuć właściwe wnioski.

Jan Emil Skiwski (Jego Eminencja Skiwski — kpiło się wówczas ze skrótu jego imion, albo się mówiło, że to człowiek o najbardziej polskim nazwisku, bo ma dwa razy „ski”) wypłynął na powierzchnię w okresie gorączkowego poszukiwania przez sanację „nowej” ideologii. Krytyk literacki i publicysta, mianowany się gorącym katolikiem, awansując szybko na czołowego teoretyka sanacji, przagnął piśmiennicze nadać dwie wyraźne cechy: katolicyzmowi i faszyzmowi. Redaguje „Pion” i wraz z Goetlem, Hrabymem i Staehlem atakuje resztki „liberalizmu” w sanacji, opowiadając ówczesną jego ostatnią redutę — „Kurier Poranny”. Jest uparty i konsekwentny. Jego stanowiskiem nie zachwiała ani wojna ani okupacja.

Inną drogą na spotkanie ze Skiwskim w redakcji „Przełomu” idzie Burdecki. W latach przedwojennych jest popularizatorem nauki. Zbliża się nawet w pewnym okresie do kol wkomunystycznych. Urzeka go przede wszystkim rozwój techniki. Technika niemiecka zwycięża. Burdecki, propagator cywilizacji technicznej, który się przed Niemcami, imponują mu czołgi i samoloty niemieckie, tak samo jak dziś zapewne zachwycił się pomysłami przedwczoraj zmarłego Forrestera o świejących krążkach i stratosferycznych platformach, z których mogłaby bombardować ziemię. Ale Burdecki nie jest wariatem. To tylko charakterystyczny prototyp współczesnego nam gatunku ludzi, nie widzącego człowieka poza maszyną, nie wierzącego w człowieka, antyhumanistycznego czciciela maszyny, wieczoraj niemieckiego, dziś amerykańskiego wyrobu.

Dlatego też w czwartym numerze „Przełomu” stwierdza on:

„Podporządkowanie się Polsce, jak w ogóle Europie pod przewodnictwem Niemiec jest rzeczą decydującą o bycie lub niebycie narodu polskiego”.

Ala już cztery lata przedtem, bo w memoriale złożonym w dniu 6 stycznia 1940 roku władzom niemieckim ten kandydat na quillingowskiego ministra oświaty pisał:

„Byłoby pożądane, aby naród polski został uświadomiony o wielkich, kulturalnych wartościach, jakie z biegiem czasu stworzył naród niemiecki. Należy zwrócić szczególną uwagę, że te wartości kulturalne są ściśle związane z dokonaniem technicznymi i gospodarczymi, i że głęboko wpłynęły na państwo sowieckie i na organizacje państwa niemieckiego gospodarki wojennej i pokojowej są owocami rozwoju trwającego setki lat, rozwoju, który ukształtował tradycje duchowe i rasowe dzisiejszej niemieckości”.

Nie mniej interesujący jest memoriał złożony przez Skiwskiego „premierowi” Generalnej Gubernii Bühlerowi w dniu 30 września 1944 roku. W dokumencie tym Skiwski stara się wytłumaczyć stały wzrost polskiego ruchu oporu pomimo terroru okupacyjnego. Przyczyną dwa przykłada złego i niewłaściwego stosunku Niemców do Polaków:

„W pewnym polskim mieście powojennym usiadał sobie wygłaniany ulawy działy chłopcy i rozmawiali ze sobą. Zbliżał się Niemiec w unifonimie. Nie powiedziałszy słowa, robił sobie przejście w ten sposób, że kopie jednego chłopca w plecy. Do tego dodaje garść przekleństw. Oddala się i na tym rzecz kończy. Z początkiem 1940 roku w Warszawie na ulicy również Niemiec w mundurze przywołuje gwałtem dorastającego młodego człowieka należącego do inteligencji i rozkazuje mu zanieść kuferek na dwa rzecze. Ten młody człowiek przerażony wykonuje rozkaz. Przed dworem Niemiec, nie powiedziałszy nawet „dziękuję”, odebrał kuferek”.

Oto dwa według autora memoriały najbardziej drastyczne fakty prześladowania Polaków, znane mu z pięciolatniej praktyki. Niemcy nie mówią Polakom „dziękuję” — na to się skarży. A wówczas kilka milionów Polaków jest już zamordowa-

nych. Ale to jest polityka. To jest słuszne, bo takie jest prawo narodu niemieckiego, przodującego w Europie. Zorganizowanie Europy pod kierownictwem hitlerowskiej Rzeczy nie ulega dla Skiwskiego żadnej wątpliwości. Dla niego nie istnieje sprawa Polski, ale co najwyżej sprawa uznania Polaków w charakterze podrzędnej kasty w tej nowej Europie.

Burdecki redagował między innymi piśmo dla młodzieży p.n. „Ster”. Zamieszczał tam szereg utworów drukowanych już przed wojną. Oczywiście odpowiednio zadaptowanych. Zakonczenie jednego z tych wierszyków brzmiało kiedyś tak:

„Urzednik pisze za stołem,
rolnik — uprawia lan żyzny,
a wszyscy pracują spolem
dla dobra naszej ojczyzny”.

W piśmie „Ster” strofka ta otrzymała także brzmienie:

„Rownik — uprawia lan żyzny,
urzednik — pisze za stołem —
a wszyscy dla wspólnej sprawy
żwawo pracują spolem...”

Nie przypadkowo tę „ojczyznę” skreślił redaktorski ołówek Burdeckiego. Polacy i inne narody europejskie miały być na zawsze z niej wyrzuceni. Prostu miały się stać tylko przynależnymi do niemieckiej Europy. Burdecki i jego przyjaciele rozumowali, że zagadnia narodowości, niepodległości i własnego państwa stanowią zbyt niebezpieczne problemy. Skarżą się w swych memoriałach słanych na Wawel, że wkrótce tylko Związek Radziecki i komuniści w kraju stawiają jasno i wyraźnie sprawę polską i że to właśnie daje im siłę w narodzie polskim. W swych przemówieniach radiowych, artykułach i memoriałach obaj przyjaciele całą furję swego ataku kierują przeciwko ZSRR stwierdzając, iż do rozstrzygnięcia sprawy polskiej mocarstwa zachodnie nie wnoszą żadnej realnej koncepcji, że stosunek Polaków do nich można ująć w jednym tylko słowie „rozczarowanie”.

Rozwój wydarzeń po wojnie przez pięć lat dzielących nas od czasu, gdy ukrywający się przed Polakami w Krakowie Burdecki i Skiwski bledzili się i pocili nad niedzmi numerami swego pismaka, wyjaśnił wiele z ich postawy, która bynajmniej nie stanowi i jej specyficznej właściwości. To, co pozornie wówczas mogło się wydawać niezrozumiałe, dziś staje się jasne. Obaj ci ludzie to objaw nie patologiczny, ale tylko po prostu polityczny. Nie rozumieliśmy wówczas, jak to się stać mogło, że dwaj Polacy podjęli tak otwarcie i czynnie współpracę polityczną z Niemcami, nie zwracając uwagi na bezmiar krzywd i okrucieństw okupantów, i to w momencie, gdy klęska Niemiec, ich całkowite rozgromienie przez armię radziecką były dla każdego jasne.

Dzisiaj wiemy, że hitlerowskie koncepcje podboju Europy, a następnie i świata, oparte na zasadzie hegemonii jednego narodu, ściśle mówiąc, grupy tym narodem rządzącej, znajdują nowych wyznawców zabierających się nawet do ich realizowania. I to także nie przypadek. Imperializm szukający ratunku nie ma innego sposobu ratowania się przed upadkiem. Posiada ten jeden tylko wzór. To, co się nie udało hitlerowcom, usiłują dzisiaj realizować amerykańscy bankierzy.

Sprawa narodów, ich wolności, swobodnego rozwoju, bytu państwowego staje się coraz bardziej całkowicie sprawą ruchu robotniczego, ruchów wolnościowych, wysuwających program zasadniczych przemian społecznych. Burdecki i Skiwski działali w całkowitej sprzeczności z najlepszymi interesami narodowymi Polski. Dlatego mamy prawo do nazwania ich zdradcami. Nie znaczy to, by byli całkowicie odosobnieni. Wiemy, że i w innych zupełnie warunkach jeszcze w okresie wojny w środowiskach polskich na zachodzie kształtowała się myśl podobna do ich myśli. Cóż innego bowiem robił Bielecki w Hiszpanii, paktując z gen. Franco a następnie przybijając nielegalnie do Wielkiej Brytanii celem prowadzenia konspiracyjnej roboty faszystowskiej? Cóż innego robił Wasułyński, wydając w wskoku w Anglii konspiracyjny piśmko faszystowskie?

Sytuacja zmieniła się dziś o tyle, że to, co w czasie wojny musieli robić tajnie, dziś mogą tam robić jawnie. Koncepcja bowiem podboju narodów Europy stała się na Zachodzie oficjalnym wyznaniem wiary. Oczywiście nie ludów. Stąd odmienne losy redaktorów „Przełomu”, skazanych na dożywotnie więzienie, i ich kolegów we Francji, którzy wracają do czynnej pracy społecznej, podczas gdy ich miejsce w więzieniach zajmują bohaterowie walki z okupantem. Gdy dotykamy historii: walki o wolność, trudno nam z aktów sprawy nie wydobyć takiego oświadczenia Franka, złożonego w dniu 23 lutego 1943 roku:

„Żądam, aby ustaly moderstwa, dokonywane na Niemcach i w następnie, ale w ogóle nie znajdował poparcia u polskiej ludności. Należy położyć kres tym akcjom, których sprawcami są wyłącznie komunisty. Tak zwany narodo- wy ruch oporu rzucił przeciwieństwo, że należy się wstrzymać od zabijania Niemców. Zmuszę również komunistyczny ruch oporu, aby walki zanichował. W każdym razie ja nie ustąpię”.

Omylił się. Ustąpił. I to nie tylko z Wawelu, z Krakowa i z Polski, ale w ogóle z grona żyjących. Za jego polskimi polecnikami prekursor polski rozoyla listy gończe. Surowa i pouczająca nauka dla tych, którzy chcą zgnieć inne narody, i dla tych, którzy je zdradzają w walce o prawodawcą wolność.

Zbigniew Mitzner

W NASTĘPNYM NUMERZE
Wrażenia z podróży
po ZSRR
Mieczysława Jastruna

ROMAN KARST

OD „CZARODZIEJSKIEJ GÓRY” DO „FAUSTA”

Tomasza Manna obrachunki z Niemcami

Jesienią 1918 roku, w obliczu klęski wilhelmskich Niemiec, Tomasz Mann pisał w „Rozważaniach człowieka apolitycznego”:

„Nienawidzę polityki i wiary w politykę, ponieważ pod jej wpływem człowiek staje się zarozumiały, doktrynerski i nieładny. Nie wierzę w formułę ludzkiego państwa mrowek, ludzkiego ładu, nie wierzę w republikę demokratyczną, socjalizm i uniwersalizm, nie wierzę, aby ludzkości przeznaczone było „szczęście” ani też by szczęście tego pragnęła — nie wierzę w „wiarę”, lecz raczej w zwięzłość, gdyż ona właśnie toruje drogę do wydobycia; wierzę w pokorę i pracę — w pracę samą w sobie, której najwyższą, najsurowszą i najpogodniejszą formą wydaje mi się sztuka”.

Jakaż przepaść ściele się między autorem tych słów a tworcą „Doktora Fausta”, wielkim demokratą i „sędzią losów niemieckich”, pisarzem, którego każda powieść od trzydziestu z górą lat jest aktem powieści politycznej i rozrachunku z własnym krajem. Zaczawszy jako teoretyk i artysta niemieckiej dekadencji, Mann staje się z biegiem lat jej najsurowszym oskarżycielem i wnikliwym „analitykiem duchowego upadku imperialistycznych Niemiec”.

Rozpatrując z tego punktu widzenia działalność pisarską autora „Buddenbrooków”, warto na chwile zastanowić się nad dwiema powieściami Tomasza Manna, które rysują obraz ideowej zagłady mieszczaństwa i inteligencji niemieckiej i stanowią niejako finał dwóch wielkich okresów historycznych. Pierwsza z nich, „Czarodziejska góra” została napisana w kilka lat po wojnie 1914 — 1918 r., druga, „Doktor Faust”, powstała bezpośrednio po ostatniej wojnie światowej. Oba dzieła — których analogie potwierdzają nieprzebraną postawę pisarską autora, różnice zaś ilustrują głęboką ewolucję ideową Tomasza Manna — zasługują na uwagę czytelnika polskiego z dwu przyczyn. Po pierwsze, znajdziemy w nich wnikliwą i bezkompromisową analizę katastrofy niemieckiej, widzianej oczami Niemca, analizie, której monumentalność i dojrzałość artystyczna — zwłaszcza gdy chodzi o „Fausta” — nie ma odpowiednika w zachodnio-europejskiej literaturze lat ostatnich. Po drugie — obie powieści, pomimo swej specyfiki niemieckiej, wkraczają w sferę kulturalno-ideologicznych zagadnień międzynarodowych, formułując głęboką i godną poznania syntezę epoki.

Nie wchodząc zbyt szczegółowo w całością zagadnień „Czarodziejskiej góry”, ograniczmy się tutaj do podkreślenia tych wątków ideologicznych i kulturalno-krytycznych, z których da się wydedukować myśl przewodnią „Doktora Fausta”. Niezwykle, bowiem pogląd „Czarodziejskiej góry” odzwierciedla „czystszą”, bardziej doniosłą — w porównaniu z autorami „Manna” — „wreszcie” zabrzmieli w „Faustie” wielobarwna i poręczająca synteza najdoskonalszych tonów.

Bohaterowie obu powieści, Hans Castorp i Adrian Leverkühn, należą — jak każda zresztą postać zrodzona w wyobraźni pisarskiej — do dwóch światów: wyimaginowanego świata powieściowego oraz świata obiektywnej i konkretnej rzeczywistości pozapowieściowej. Mierzeniem ich prawdy i wielkości artystycznej jest nie tylko doskonałość konstrukcji fabularnej ich losów, lecz także dzieje rozwijające się poza utworem. Pomimo że Mann w obu powieściach świadomie i celowo rozluźnia — podkreślamy: rozluźnia a nie przerywa — więź łączącą jego bohaterów ze światem obiektywnym, subiektywny krag ich indywidualności zabiega się — zgodnie z realistyczną metodą mannowską — z wydarzeniami historyczno-politycznymi, towarzyszącymi okresowi, w którym rozgrywa się akcja powieści. To wyodrębnienie bohaterów ze sfery potocznej codzienności nie zmniejsza u Manna do twórcy sztucznego (i a priori zdeterminowanego) typu samotnika intelektualnego. Chodzi raczej o oczyszczenie pola obserwacji i dokładne zbadanie obserwowanego obiektu, podobnie jak to czyni bakteriolog, który bierze pod mikroskop bakterie chorobotwórcze. Tak więc autor izoluje Castorpa na dłuższy okres czasu na szczytach górskim w Davos, w sanatorium dla gruźlików, Leverkühna natomiast — na modłę Fausta goethowskiego — w czterech ścianach pokoju genialnego kompozytora.

Castorp, który przyjeżdża do Davos na krótki czas dla wypoczynku oraz odwieczenia chorego na płuca wuj, zostaje orzeczeniem lekarzy zatrzymany w sanatorium Berghof. Pobyt jego przedłuża się do siedmiu lat, tzn. do wybuchu pierwszej wojny światowej. Nagle czuje się wołny, wyrwany z kręgu trosk i obowiązków codziennych, i może oddać potęgę wedze swoimi fantazjom, myślimi i rozważaniem filozoficznym. Mann otacza swojego bohatera, który znalazł się wśród garstki polowiczów do świata należących ludzi, grubą płytą izolacyjną, oddzielającą go od konkretnego świata. Pisarz wyrzyna Castorpa z normalnego środowiska, stwarzając specyficzne warunki potrzebne do wydobywania na jaw ukrytych w nim właściwości. Metamorfoza ideowa Castorpa a raczej konkretyzacja jego treści wewnętrznej dokonana jest niejako pod klezmem. W ten sposób pisarz dociera do najtajniejszych i niedostrzeganych warstw intelektualnego. Obraz wylinający się pod powiększającym szkłem analizy mannowskiej jest typowym wizerunkiem mieszczańskiego intelektualisty niemieckiego, wizerunkiem, który po odrzuceniu niemieckiej specyfiki nadaje się do uogólnienia. Obraz ten, w projekcji nieskonkretnie tragiczniejszej, głębszej i bardziej skomplikowanej (Leverkühn w porównaniu z Castorpem jest indywidualnością niepomocnie głębszą, bardziej zwięzłą, granicząca wprost z genialnością), powtórzy się — mutatis mutandis — w „Faustie”.

Hans Castorp, potomek hanzeatyckiego patrycjatu, który był niemal do pierwszej wojny światowej jednym z filarów tradycjonalizmu wilhelmskiego, nie jest reprezentantem swej klasy. Jego sylwetka duchowa odcina się wyraźnie od niemieckiej przeciętności mieszczańskiej, doskonałe jednak się mieści bez reszty w obrębie przedwojennej inteligencji niemieckiej. Mann szkicuje w najdrobniejszych szczegółach postać mieszczańskiego inteligenta. Castorp to bierny, praktycznie zupełnie beznadziejny umysł wyrażający w najczystszej — klinicznej niemal — formie duchowy kwiatyzm burżuazyjnie-niemieckiej. Bohater „Czarodziejskiej góry”, który z równym zainteresowaniem przysłuchuje się wywodom fanatycznego teoretyka terroru i ekstazy, jak liberalnego humanisty, pochyla się z obojętnością nad przepaścią życia, bacząc, aby tylko samemu nie znaleźć się w niebezpiecznej rozpadlinie. Castorp jest naturą ahisteryczną, człowiekiem, który czuje się doskonale dopiero po zrzuconiu z siebie politycznego i społecznego brzemienia życiowego. Jest wykształconym filistrem niemieckim, wynajającym hasło „Politik verdirbt den Charakter”; jego indywidualność reprezentuje konglomerat bezpartyjnej obojętności, klasycyzującej tolerancji i kwietystycznego humanizmu.

Finał epoki jest znany. Podczas gdy mieszkaniowie czarodziejskiej góry upajali się rozważaniami, na nizinach zbierała się groźna burza. W dół zbroiła się do wojny (brzydnia armia niemiecka — a na wysokości rezonowali ludzie, którzy — nie mamy powodu wątpić o tym — nie życzyli sobie wojny. A potem było już za późno. Castorps nieki to zdanie nie pytał.

Sens ideowy i polityczny upadku inteligencji i mieszczaństwa niemieckiego wystąpi w pełnym i tragicznym świetle w

„Faustie”. Zarówno przed pierwszą wojną światową, jak przed rokiem 1932, zrownoważony i spokojny bourgeois niemiecki pozostawił swój kraj i Europę ich własnym losom, oddając ster zblakłego okrętu w ręce ludzi, którymi gardził, lecz których nie chciał i nie umiał zwalczać. Nie będziemy w tej chwili rozstrząsać szerokiego wachlarza zagadnień społeczno-politycznych, które nie zostały w „Czarodziejskiej górze” uwzględnione i które by wyjaśniły, dla czego mieszczaństwo i inteligencja niemiecka zajęły właśnie takie a nie inne stanowiska. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę na wyrażenie — odwołanie pisarskie, z jaką Mann odmalował upadek wspomnianych warstw społecznych, w szczególności na jego ostrą ocenę intelektualistów niemieckich, bez których Niemcy dwa razy rozstrzygały i którzy drogę zapłacili za swój spokój i milczenie, spadając w otchłań „apokaliptycznych demonów”. Ale o demagogii — przy „Faustie”.

O ile „Buddenbrookowie” opisują początki procesu upadku niemieckiego patrycjatu miejskiego (procesu, w którym mogła — jak wówczas sądził Tomasz Mann — rozwiązać się sztuka), „Czarodziejska góra” zaś epoką rozkładu kultury i inteligencji burżuazyjnej, o tyle „Doktor Faust” genialnie odzwierciedla niemiecką katastrofę oraz zupełne bankructwo kultury i sztuki w okresie imperializmu. Ostatnia powieść Manna analizuje końcowy etap kilka stuleci trwającej cywilizacji, która przechodzi w negację humanistycznych wartości kultury, w absolutny nihilizm ideowy, estetyczny i artystyczny. Konsekwencją tego rozkładu jest umyślo-



Tomasz Mann

we zwyzdronienie, krótko mówiąc — fałszem.

Treścią powieści „Doktor Faust — życie niemieckiego kompozytora, Adriana

Leverkühna, przez jego przyjaciela opowiedziane” — są dzieje niemieckiego muzyka między rokiem 1885 a 1940. Ten ostatni rok jest datą fizycznej śmierci Leverkühna, zgon duchowy następuje bowiem o dziesięć lat wcześniej. O losach kończącego szaleństwem kompozytora opowiada nam jego przyjaciel, doktor Serenus Zeitblom, który spisał dla siebie (i potomności) historię tego niezwykłego żywota. Pierwsze kartki pamiętnika Zeitbloma zaopatrzone są datą 27 maja 1943 roku, ostatnie pochodzą z czasów, które poprzedzają o kilka tygodni militarną klęskę Niemiec. Tak więc dowiadujemy się o wypadkach, które zaszły w ostatnim półwieczu, nie bezpośrednio z ust samego bohatera powieści ani też od autora, lecz od biografy kompozytora — Zeitbloma, którego nie należy bynajmniej „identyfikować” z Tomaszem Mannem. Ponadto historia Adriana Leverkühna zostaje przepuszczona przez filtr ostatnich dwu lat wojny światowej. Ta podwójna optyka, której w żadnym wypadku nie można przypisywać znaczenia formalnego chwytu artystycznego, pozwala Mannowi dokładnie precyzować — oświetlać z kilku stron istotę wielu skomplikowanych zjawisk kulturalnych i artystycznych. Poza tym wprowadzenie osoby narratora jest istotnym, realistycznym elementem treściowym. Zeitblom bowiem nie tylko pośredniczy między bohaterem a czytelnikiem, ale jest również ogniwem (i bodajże jedynym), które łączy osamotnionego i skłóconego z życiem Leverkühna ze światem zewnętrznym.

równie przeciw burżuazji, jak przeciwko socjal-demokratycznemu przywódcowi. Autor wprawdzie zaznacza, że wśród robotników istnieją ugrupowania rewolucyjne, lecz Morten z nimi organizacyjnie nie współpracuje. Takie postawienie sprawy wzięcia obraz, akcja polityczna Mortena rozgrywa się w wymarach teorii.

Za to w znanej u nas już przed wojną powieści pt. „Ditta” z szczególną wyrazistością objawia się pasja pisarza do odzwierciedlania szarych ludzi proletariatu w ich dniu powszednim. Ten typ powieści — wykładni określał Mianem „malego realizmu”. Ale ani „Ditta” ani poprzednie powieści nie mieszczą się w tym terminie. Nexo nie odrysuje rzeczywistości, wychwytuje z niej cechy istotne i trwałe. Pisarz poprzez obraz swego środowiska ukazuje punkty zapalne buntu przeciw kapitalistycznemu porządkowi społecznemu, ukazuje ludzi osadzonych w ich losie, uformowany przez nieodwracalne prawa ekonomiczne. Jeśli oberzysta z „Ditty” dzięki własnej przedsiębiorczości, a przede wszystkim dzięki swemu majątkowi, potrafił ułożyć sobie życie, jak ten z rybaków w nadmorskiej osadzie, to przecież ta konstrukcja odnosi się do mechaniki rodzenia się kapitalizmu w ogóle. Jeśli stary Lasse z „Pellem zwycięzcy”, pomimo swej pracowitości i energii, nie może przekroczyć granic klasowych i ginie w skrajnej nędzy, to autorowi nie chodzi tylko o Lassego, lecz o tysiące mu podobnych.

Sama zaś Ditta, to dziecko ludzkie, doznaje wszystkich bied i klęsk swej sfery, jej walka o szczęście z góry jest skazana na jej warunkach na niepowodzenie. Ditta — to kapitał dobra, uczciwości, głębokiej kultury wewnętrznej tych wszystkich ludzi, dla których zabrakło miejsca na ziemi. Jej postać autor opromienił wiarą w dojrzałość proletariatu do bardziej ludzkiego, wyższego, lepszego życia niż to, które stworzyła burżuazja.

Forma artystyczna dzieła Andersena Nexö wypływa z założeń ideowych, jakie sobie pisarz postawił na początku swej drogi. Podziwiać należy, jak ten przed laty skromny samouk, po roboczym, trzeźwym i świadomie potrafił budować własny warsztat twórcy. Nexo, pisząc swoje pierwsze opowiadanie, zrozumiał, że rozpowszechniony w ówczesnej literaturze styl „nie przystaje do prostych ludzi”; styl ten „nie potrafił oddać ich kłopotów, trosk i małych radości”. Nexo kształcił się na książkach pisanych przez obcą mu klasę społeczną, teraz więc musiał przystosować język „inteligencji” wiedeń do pojęć, w których wyrósł i którymi żył zarówno sam, jak jego otoczenie. Było to ciężkie zadanie. Pierwszą opowieść pisał siedem razy z rzędu, nim osiągnął zamierzony cel.

Krytycy zarzucali mu często, że w jego książkach brak jest analiz psychologicznych. „Nie czulem nigdy potrzeby zajmować się moim życiem wewnętrznym — odpowiadali autor „Czerwonego Mortena” — wolalem patrzeć na moje otoczenie szeroko otwartymi oczami i brać żywy udział we wszystkich zjawiskach zachodzących między niebem a ziemią... W świecie, do którego należą przez własne urodzenie, dziesięć i przez światopogląd, człowiek nie zwykł zajmować się sobą... Rzeczywistość objawia się tam w postaci nieszczęść, wyrzeczonych, przykrości”.

Te słowa ukazują najlepiej źródło epickiego charakteru twórczości Nexö, mentalność środowiska uwarunkowała jej formę. Nic przeto dziwnego, że te książki znalazły najwierniejszych czytelników właśnie wśród robotników, drobnych rzemieślników i bezrolnych chłopów. To była ich literatura, literatura ludowa.

Szkiełko niniejszy napisany został z okazji osiemdziesięciolecia urodzin wielkiego pisarza, niechże więc zamkną go słowa, których prawdę potwierdziło jego własne życie i dzieło: „Pisarz ponosi wielką odpowiedzialność przed ludzkością, większą niż ktokolwiek inny”.

Aleksander Jackiewicz

(Dokończenie na str. 6)

ALEKSANDER JACKIEWICZ

Martin Andersen Nexö

Gdy zostaniesz pisarzem, nie zapomnij o proletariacie”. Te słowa wypowiedział pewien niemiecki robotnik zatrudniony przy budowie kościoła w miejscowości Ostermarie w Dani, do swego młodocianego pomocnika Martina Andersena.

W dwadzieścia lat później, w r. 1906 — pisarz Martin Andersen Nexö we wstępie do swojej pierwszej wielkiej powieści pt. „Pelle zwycięzca” przesyłał niemieckiemu towarzyszowi podziękowanie za zachętę i przestrzeń, podkreślając, że jego dawny pomocnik pozostał wierny powołaniu.

Andersen Nexö przez całe życie traktował swoją twórczość literacką jako określoną funkcję społeczną i brać polityczną. Pisał tylko wówczas, gdy miał „rośną sercu” — jak się zwykły wyrażać. Poza tym biurka nie lubił. Wołał prac fizyczną, której poświęcał całe dnie, nawet wtedy, gdy nie był już zmuszony zarabiacz nią na chleb. Obcowanie ze środowiskiem proletariackim przekładał zawsze nad towarzysko swych kolegów po piórze. Unikali ich, bo obce mu było wszelkie artystowstwo, unikali książek, które nie rozszerzały jego wiedzy o świecie. „Nie spośród moich książkowych i prymusów szkolnych rekrutują się poeci dnia powszedniego” — pisał.

„W jaki sposób można zostać poetą?” — pytano go często. Cóż miał na to odpowiedzieć? Ze poezja nie jest mistycznym tajemnicznym kapitanem, ale tworem zbiornym; pisarza i jego środowiska... Tworząca nie różni się w swej istocie od tych, których opisuje, bo wielu jest prawdziwych poetów na świecie, chociaż tylko nieliczni potrafią barwom życia nadać artystyczny kształt. Mam to, w dziele literackim uczestniczą wszyscy ludzie, wśród których żyje pisarz, z których czerpie materiał do swych dzieł. „Wielu prowadzi jego pióro”.

Gdy Andersen Nexö ogłaszał swój pierwszy utwór pt. „Cienie”, w mieszczańskich prasie wolano, że teraz na Parnasie zaczyna się „taniec w drewniakach”. Trzeba pamiętać, że był to rok 1891, początek okresu, w którym z literatury wykazywano duchy wielkich realistów.

Pierwsze dziesięciolecie twórczości Andersena Nexö przypadają na czas literackiego neoromantyzmu. Mieszczaństwo panowało wówczas niepodzielnie nie tylko nad losami bohaterów Nexö, ale ciężko też nad jego własną twórczością. Odwracano się od gorzkiej prawdy jego dzieł. Wydawnictwa pracowały dla publiczności, która nie lubila wyrzutów sumienia i bała się „czerwonych Mortenów”. Zona pewnego duńskiego dostojnika, po przeczytaniu pierwszej noweli Andersena Nexö, pisała: „Nie mogę spać w nocy z powodu tego opowiadania. Powinno się zabronić opisywać w ten sposób niedzary”. Zaś wdowa po duńskim poecie Molbachu dedykowała: „Ona oczywiście traktuje to zbyt surowo. Ale od siebie mogę ci powiedzieć, drogi Marcine, że w ten sposób nigdy nie będziesz pisarzem”.

Słowa autóra „Cieniów”, że „wielu bierze udział w stworzeniu pełnego dzieła” literackiego, odnoszą się przede wszystkim do jego własnych książek.

Na język polski zostały dotychczas przełożone „Pelle zwycięzca”, „Czerwony Morten” oraz „Ditta”, pozostaniemy więc przy tych pozycjach.

W dwóch pierwszych wymienionych powieściach pisarz odzwierciedla wiele ze swego własnego życia. Losy Pellego i Mortena na pewnych odcinkach ilustrują los ich autora, również większość innych postaci, sytuacji, miejscowości została zaczerpnięta z rzeczywistości.

W „Pellem zwycięzcy” Nexö zobrazował swoje dzieciństwo i wczesną młodość. Po-

wieści jednak oszczędził wielu ciemnych barw, które znał z doświadczenia. Pelle pracując w gospodarstwie wiejskim, później zaś przez szereg lat terminując u szewca, znajduje oparcie w swym wspólnym ojcu Lasse. A ojciec Andersena Nexö, rozczulony życiem kamieniarza, pozostawił syna swemu losowi. Mały Martin miał cięższą pracę od pasażera było Fellego, jako dziecko już spełniał funkcje pełnowartościowego parobka u obcego gospodarza. W losie Pellego pisarz nie uwzględnił również swej ciężkiej walki o wiedzę, gdy jako terminator szewski w spotykał zaciekłe książki, które różnymi sposobami zdobywał, z ogromnym wysiłkiem przyswajając sobie historię, geografie, fizykę, język niemiecki. Był później w szkole, do której uczęszczał — zarabiacz na życie jako szewc lub robotnik budowlany — polączyć swe przypadkowe wiadomości w pewien system.



Martin Andersen Nexö obchodzi 26 bm. 80-lecie urodzin

Pelle, po odbyciu praktyki szewskiej, przenosi się do Kopenhagi, gdzie bierze udział w politycznej akcji socjalistów. Obraz walki kopenhaskich robotników o prawo zręczania się w związkach partii twórczych należy do najlepszych partii twórczości Nexö. Doskonała umijętność pisarza operowania masą — zostaje tu zrealizowana w całej pełni. Pewien krytyk radziecki stwierdził, że w powieściach Nexö masy ludowe zostały oddane z większą siłą niż postaci i losy bohaterów pierwszoplanowych. W omawianej powieści, zwłaszcza w jej ostatnich tomach, masa robotnicza również pod względem politycznym wykazuje więcej dynamiki niż jej przywódca, oddala się od swego środowiska, idzie na kompromis.

W powieści pt. „Czerwony Morten” postać Pellego nie ma już nic wspólnego z biografią autora. Na czoło utworu wysuwa się proletariacki pisarz Morten, rewolucyjny bojownik robotniczy.

Andersen Nexö rozpoczął swą działalność polityczną w szeregach duńskiej socjal-demokratycznej, lecz w momencie, gdy ta przeszła na współpracę z czynnikiem mieszczańskimi i zrezygnowała ostatecznie z walki klasowej, pisarz z nią się rozstał. Nastąpiło to już w czasie pierwszej wojny światowej. Rewolucję Październikową wita Nexö jako pierwsze zwycięstwo swej klasy. W okresie międzywojennym dwukrotnie odwiedza Związek Radziecki, wygłaszając tam szereg odczytów i wywożąc stamtąd wiele materiałów do swej pracy literackiej i publicystycznej. Od kilkudziesięciu lat jest aktywnym członkiem duńskiej partii komunistycznej.

W „Czerwonym Mortenie” pisarz skupia swą uwagę głównie dookoła dziejów głównego bohatera, co wpływa na pewne osłabienie społecznej wymowy powieści. Czerwony Morten walczy w pojedynkę za-

* Powieść „Ditta” ukazała się w r. ub. nakładem Spółdz. Wyd. „Książka”, „Pelle zwycięzca”, „Czerwony Morten” oraz nowe poprawione wydanie „Ditty” wyjdą w najbliższym czasie — nakładem „Książki i Wiedzy”.

PEWNEGO popołudnia minister wrócił około piętek z Tuilerów i wzewał Lucjana do siebie. Nasz bohater spostrzegł, że pan de Valze był biały jak śmierz.

— Mam pewną sprawę, drogi panie Lucjanie. Chciałbym powierzyć ci misję niezmiernie delikatnej natury...

Lucjan spojrział na zwierzchnika tak wynioście i niechętnie, że dygnitarz, bojąc się sprzeciwić, dorzucił czym prędzej: — ... i nadzwyczaj zaszczytną.

Słowa te nie wyczerpały na Leuwenie prawie żadnego wrażenia. Pozostał nieprzyjemny i obojętny. Nie łudził się jakieś zaszczyt, można zdobyć, służąc za 900 franków rocznie.

Jego Ekscelencja rozpoczął perorę:

— Jak pan wiesz, znajdujemy się w tym szczególnym położeniu, że opiekujemy się nami aż pięć rodzajów policji... Wadomo panu o tym to samo co i ogółowi a to nie wystarczy do przeprowadzenia niemożliwych posunięć. Zrobić mi tą łaskę i zapomniaj o tym, co tyko w naszym przekonaniu, było ci znane. Gazety opozycyjne rozjątrają każdą niemłą sprawę, pragnąc zdobyć czytelników. Bacz pan, abyś nie pomylił tego, co społeczeństwo uważa za prawdziwe, z tym czego dowiesz się ode mnie, bo inaczej błędnym będzie twoje poczynanie. Nie wolno ci zapominać, panie Lucjanie, że najpodlejszy łajdak jest na swój sposób ambity i honorowy. Jeśli spojrzysz, że nim gardzisz, uprze się żeby postawić na swoim... Nech mi pan wybaczę drogi przyjacielu, że nazybuję obywateli wywoły, lecz pragnę z całego serca, aby ci się powiodło...

„Aha, pomyślał Lucjan, ja też mam być ambity jak ów łajdak. Te dwa zdania stoją nader blisko siebie. Ekscelencja musi być czymś bardzo poruszony”.

Minister nie zastanawiał się już jakby ułaskać Lucjana; pogryzł w sobie rozpaczy. Na pół przytomnie oczy odcinały się osrodo od trupów bladych policzków; tak, na ogół biorąc, wyglądają ludzie, doprowadzeni do ostateczności. Mówił dalej:

Tego starego diabła, generała N., opowiadała jedna tylko myśl: jak zostać zastępcą naczelnego podlega. Jest, jak pan wie, komendantem policji w Tuilerach. Mało mu tego: chciałby być ministrem wojny i wtedy pokazać swoją zręczność w najtrudniejszej rozgrywce. I, prawdę powiedziawszy, dorzucił z pogardą znakomity administrator, jedynej trudnej rozgrywki tego godnego pożądania resortu. Należy się starać, aby między wojskiem i ludnością cywilną nie zapanały nazybty czułe stosunki, bacząc jednocześnie żeby liczba pojedynków, kończących się śmiercią, nie przekroczyła sześciu na miesiąc.

Lucjan spojrział na dygnitarza.

Cyfra ta odnosi się do całej Francji, ciągnął pan de Valze; taką stawkę oznaczono na Radzie Ministrów. General N., zadawał się dotychczas rozpuszczaniem pogłosek w koszarach, że ludzie najniższej kondycji, robotnicy, napadający na samotnych żołnierzy, dyblą na ich życie. Między rzeczonymi warstwami społeczeństwa dochodziła stała do zbliżenia, są to skutki błędnostawianej równości; obie klasy darzą się wzajemnym szacunkiem; żandarmeria wojskowa dokłada wszelkich starań i nie pomija żadnej okazji, aby siac między nimi niezgodę. General N., zanudza mnie, żebym zamieszczał w swoich dziennikach dokładne sprawozdania ze wszystkich kłótli w karczmach, grubiaństw, jakich dopuszczają się wartownicy, burd pijakich, słowem z wiadomości, które mu znoszą sierżanci, przebrani w cywilne ubrania. Szpicie mają przyglądać się piątykom, lecz nie wolno im, pod żadnym pozorem, mieszać się w nie. Są to sprawy, które doprowadzają do rozpaczy naszych pisarzy. „Czyż można się spodziewać, powiadają ci panowie, aby subtelnie obmyślane zdanie, lub ostre wykwintnej ironii, zwrócić uwagę kogoś, kto naczytał się tytułu obrydziłości? Czy ludzi z dobrego towarzystwa obchodzi żywyciwa, odnoszone w karczmach? Czytelnik, posiadający jakieś takie wykształcenie, dowiedziawszy się o tych brudach, rzuci gazetę i nie bez racji wyrazi się pogardliwie o przekupionych dziennikarzach”.

— Trzeba przynajmniej, ciągnął z uśmiechem minister, że bez względu na talent z jakim panowie od literatury sporządzają powyższe opisy, publiczność nie czytuję o bójkach, w których dwaj murarze zamordowaliby na pewno trzech grenadierów, zbrojnych w pałazie, gdyby nie cudowna interwencja ze strony najbliższego posterunku. Nawet żołnierze, wyśmiewają się z owych elaboratów w tych naszych gazetach, które kazalełm podrucać w koszarach. Widząc ten stan rzeczy, stary diabeł N., który zdarcza się, że ma tylko dwa gwizdki na epoletach, postanowił operować faktami. Otóż, drogi przyjacielu, (tutaj ekscelencja zniżył głos) afera Kortisa, której nasza prasa zaprzeczyla tak gorliwie wczoraj rano, jest aż nazybty prawdziwa, Kortis, będący jedynym z najbardziej oddanych ludzi generała N., spróbował wszelkiej środy rozbroić żołnierza, uchodzącego za koronnego osła, którego siedział od ośmiu dni. Owo żołnierz pełnił od północy wartę na samym środku mostu Austerlitz. Około w pół do pierwszej zbliżył się do Kortisa, udając pijaka. Nagle rzuciła się na poborowego, chcąc mu wyrwać karabin. Ten lotr, wyglądający na skończonego dumnia i z tej racji wybrany, cofa się o dwa kroki i strzela Kortisowi prosto w brzuch. Okazało się, że był myśliwym z gór Delinatu. No i cóż, Kortis otrzymał śmiertelną ranę, ale diabeł nadal, że jeszcze nie umarł.

Oto cała historia. Teraz pozostaje problem do rozwiązania: Kortis wie, że będzie żył trzy, najwyżej cztery dni, — kto zaręczy za jego dyskrete?

Zbieszano (id est król) straszliwie generała N.. Na nieszczęście byłem pod ręką, to też zaważano, że ja jeden mam na tyle taktu, aby wyrwać jak należy z tej niezmiernie kłopotliwej napy. Gdybym był mniej znany, uładłbym się sam do Kortisa, który leży w szpitalu przy ulicy... i przyjrzyłbym się osobom, kręcącym się koło jego łózka. Ale sama moja obecność zagmatwałaby jeszcze bardziej całą historię.

Agenci generała N., są lepiej płatni od moich; to jasne; draby nad którymi general rozciąca nadzór budzą więcej obaw, od nicponiów, będących zwykłym żerem policji ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nieszpina miesiąc temu, general N., zabrał mi dwóch ludzi; otrzymali u nas

sto franków pensji i od czasu do czasu wpadało im po kilka pięciofrankówek, jeśli wywyżsili i donieśli coś ciekawego. General dał im dwieście pięćdziesiąt franków miesięcznie, a ja mogłem mu tylko wspomnieć żartem, o nader pociesznych sposobach kaptowania agentów. Teraz musi być rozjuszony sceną, którą zrobiono mu dziś rano a także pochwałami, jakich nie szczeniło mi w jego obecności. Król bał się nieomal swoje kosztować. Człowiek o pańskim umyśle odgadnie co będzie dalej; jeżeli moim agentem czuwającym u łóżka boleści Kortisa, uda się jakieś korzystne posunięcie, nie omieszkać zostawić raportu u mnie w gabinecie, ale dopiero w pięć minut po moim wyjściu z ministerstwa; naturalnie general N., wypyta ich o godzinę wcześniej i dowie się, czego tylko żechce.

— Czy zgodzisz się teraz, drogi panie Lucjanie, wybaczyć mi to wielkiego kłopotu?

Po chwili namysłu Leuwen odpowiedział:

— Tak, panie ministrze.

— Ale wyraz jego twarzy był bez porównania mniej obiecujący, niż słowa. Dodał łowczym tonem:

— Spodziewam się, że nie będę zmuszony odbywać rozmów z chirurgiem.

— Wybornie, wybornie, drogi przyjacielu, trafiłeś pan odrazu w sedno sprawy.

— General N., działał już i to działał zbyt gorliwie. Ow chirurg nazwiskiem Monod to obrzym, który czytuje tylko Kuriera Francuskiego w kawiarni obok szpitala i który zdziesiąt pięćdziesiąt konfidenta, wysłanego przez pana N., kiedy ów agent po raz trzeci wysunął pewną propozycję, obiecując lekarzowi krzyż zasługi. Stanowisko Monoda odstąpiło zapal agenta, nie mówiąc już o scenie, jaka rozegrała się w szpitalu.

— Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!

— Pan de Valze, który do tej chwili mówił z przejęciem, zwięźle i szczerze, uważał teraz za stosowne użyć dwa lub trzy efektowne zdania (wyjęte jakby z Dziennika Paryskiego), o tym, czego on, jako minister, nie chciałby nigdy usłyszeć od chirurga. Powiedziawszy to, zamilkł. Lucjan był ogromnie podniecony. Po długiej i niepokojącej ciszy, oznajmił wreszcie zwierzchnikowi:

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— Pan de Valze, który do tej chwili mówił z przejęciem, zwięźle i szczerze, uważał teraz za stosowne użyć dwa lub trzy efektowne zdania (wyjęte jakby z Dziennika Paryskiego), o tym, czego on, jako minister, nie chciałby nigdy usłyszeć od chirurga. Powiedziawszy to, zamilkł. Lucjan był ogromnie podniecony. Po długiej i niepokojącej ciszy, oznajmił wreszcie zwierzchnikowi:

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— Pan de Valze, który do tej chwili mówił z przejęciem, zwięźle i szczerze, uważał teraz za stosowne użyć dwa lub trzy efektowne zdania (wyjęte jakby z Dziennika Paryskiego), o tym, czego on, jako minister, nie chciałby nigdy usłyszeć od chirurga. Powiedziawszy to, zamilkł. Lucjan był ogromnie podniecony. Po długiej i niepokojącej ciszy, oznajmił wreszcie zwierzchnikowi:

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

— „Ten gałgan, krnąkły Monod, proponuje mi, żebym po prostu otrul silną dawką opium, rannego z trzynastego łózka!”

Minister starał się zdobyć na jak najbardziej krzepające i podniosłe przemówienie.

Widział wczoraj doskonale odegraną tragedię Kornela, pod tytułem Horacjusza.

— Trzeba sobie przypomnieć, pomyślał ten, w jakim rozmawiali Horacjusz z Kuracjuszem; gdy dowiedzieli się od Flawiana, że w przyszłości będą walczyć.

Korzystając więc z uprzywilejowanego stanowiska (był przecież ministrem) zaczął spacerować po gabinecie i rozważać: (Tutaj cytuję dwóch wierszy!)

Lucjan powziął decyzję: „Najmniejszej opinii, pomyślał, świadczyć o pewnym wahaniu, — tchórzostwie powiedziaby wróg”.

Wyraz tchórzostwo przejął go grozą. Zwrócił się więc do ministra, który przedchadzał się niby heros tragedii.

— Jestem gotów, panie ministrze. Czy ministerstwo Spraw Wewnętrznych poczynało już jakieś kroki w tej sprawie?

— Prawdę mówiąc, nie wiem.

— Zobaczą jak to wygląda i zaraz wrócę.

Lucjan podbiegł do pana Desbacs i nie zdradzając się z nikim, poprosił go, o zasięgnięcie języka w innych wydziałach.

Wrócił niebawem.

— Tutaj jest list, powiedziała minister, za którego okazaniem, będziesz pan miał do swojej dyspozycji cały personel szpitalny, a tutaj złoto.

— Lucjan podszedł do stołu, chcąc napisać pokwitowanie.

— Co pan robi, mój drogi? Kwił, — w naszych stosunkach? — spytał minister z udaną swobodą.

— Panie hrabio, wszystko co tutaj robię, może być kiedyś wydrukowane, odrzekł Lucjan z powagą człowieka, który walczy o własną głowę.

Spojrzenie Leuena sparaliżowało swobodę Jego Ekscelencji.

— Przygotuj się pan na to, że przy łóżku Kortisa będzie tkwił agent Nacjonalu albo Trybunu. Przede wszystkim panuj nad sobą; nie wolno dopuścić do pojedynku, z którymś z tych panów. Rozumiesz sam, co to byłoby dla nich za gratka i jak general N., triumfowałby nad moim nieszczęsnym ministerstwem.

— Ręczę, że nie będę się pojedynkował, przynajmniej za życia Kortisa.

— To najniebezpieczniejsza sprawa na dziś. Kiedy pan wszystko załatwisz w granicach możliwości, szukaj mnie gdziekolwiek będzie. Oto moje plany: za godzinę pojedą do Ministerstwa Finansów, a stamtąd do... Będę panu szczegółowo zobowiązany, za informowanie mnie o każdym kroku, jaki podejmiesz.

— Czy Wasza Ekscelencja poinformował mnie o wszystkim, co raczył przedsięwziąć? — spytał Lucjan znacząco.

— Tak, na honor! — odrzekł minister. Nie mówięm Crapartowi ani słowa. Jeśli chodzi o mnie, przekazuję panu niekwestionowaną sprawę.

— Muszę zastrzec, nie uchylając w niczym respektowi, jaki winniem Waszej Ekscelencji, że jeśli spotkam kogokolwiek z policji, wycoufuję się. To nie jest towarzystwo dla mnie.

— Zgodziłbym się, gdyby chodziło o moją policję, drogi panie adiutancie. Ale czy mogą odpowiadać wobec pana za głupstwa, jakie może popełnić policja innych resortów? Nie chcę ani nie mogę ukryć.

*) Uwaga Stendhala figurująca w tej postaci w pozostawionym przezeń brulionie powieści (przyp. red.).

STENDHAL

A F E R A

wać nie przed panem. Kłóż mi zaręcz, czy zaraz po moim odjeździe nie powierzą tej samej misji innemu ministrowi? W Tuilerach panuje wielkie zaniepokojenie. Artykuł w Nationalu był obrzydliwy, ze względu na umiar z jakim go napisano. Pełno w nim delikatnych aluzji i wyniosłej pogardy... Przeczytaj go dokładnie w salonach. Zupelnie inny ton, niż artykułu w Trybunie... Ach ten Guizot, czemuż nie zrobił pana Carrel radcą stanu!

— Zdaje mi się, że Carrel odrzuciłby taką propozycję. Lepiej być kandydatem niż radcą stanu. Rada stanu pobiera dwa naście tysięcy franków, a on otrzymuje trzydzieści sześć tysięcy, za to tylko, żeby mowił, co myśli.

I tak jego nazwisko jest na ustach wszystkich. Zresztą, gdyby nawet czuwał przy łóżku Kortisa, nie dopuściłbym do pojedynku.

Zdaje się, że ta wypowiedź godna zapalonego młodzieńca nie przypadła zbytnio do gustu Jego Ekscelencji.

— Do widzenia, do widzenia, drogi panie Lucjanie, życzę powodzenia. Masz moje nieograniczone zaufanie i nie zapomnij informować mnie o wszystkich poczynaniach.

Lucjan wrócił do swego gabinetu zdecydowanym krokiem człowieka, który idzie zdobywać baterię. Istniała tylko jedna wielka różnica: nie myślał o sławie, lecz o infamii.

Desbacs czekał na niego.

— Przyniosłem panu list od żony Kortisa. Lucjan zaczął czytać:

„Mój nieszczęśliwy małżonek nie ma w szpitalu dostatecznej opieki. Chciałabym zaszkodzić potrzebę serca i otoczyć męża staraniami, jakie należą mi się ode mnie, ale musiałabym zostawić kogoś przy tych nieszczęśliwych dzieciach, które zostaną sierotami... Mój mąż otrzymał śmiertelny cios na stopniach tronu i ołtarza... Ufna w sprawiedliwość Waszej Ekscelencji, proszę...”

„Niech diabeł weźmie Ekscelencję! pomyślał Lucjan. Nie będę mógł powiedzieć, że list był do mnie”.

— Która godzina? zapytał Desbacs. Chciał mieć wartygodnego świadka.

— Za kwadrans zosta. W całym ministerstwie nie ma żywej duszy.

Lucjan zanotował godzinę na kartce. Zawolał woźnego, - szpicla.

— Jeżeliby ktoś pytał o mnie dziś wieczór, proszę powiedzieć, że wyszedłem o szóstej.

Spostrzegł, jak w oczach Desbacs, zazwyczaj pełnych niezważanego spokoju, błysnęła ciekawość. Urzędnika koroło, żeby wziąć udział w nieznanym mu sprawie.

„Możesz być drogi przyjacielu, skończonym łajdakiem, a kto wie czy i nie szpiegiem generała N., pomyślał Leuwen”.

— Obiecałem solennie znajomym, że przyjadę do nich na obiad, za miasto, powieściu raczej obojętnie. Gotowi pomyśleć, że każde czekać na siebie, jak dygnitarz.

MARTIN ANDERSEN NEXO

P I S A R Z

JAK stać się pisarzem? To pytanie często i z tylu stron kierowano do mnie, że czułem się zmuszony znaleźć na nie jasną odpowiedź wobec samego siebie, chociaż nigdy nie miałem dłań specjalnego zainteresowania. Nigdy nie dostrzegłem istotnej różnicy pomiędzy pisarzami a innymi ludźmi — chyba że sam pisarz dąży do wytworzenia takiej różnicy, zachowując się w sposób dziwny. O wiele bardziej interesowało mnie zagadnienie: jak stać się człowiekiem, ponieważ wydawało mi się, że tedy prowadzi najwłaściwszą drogą. Im ściślejszą łączność wytworzy w sobie pisarz z tym, co jest wspólne wszystkim ludziom, im bardziej stanie się wcieleniem spraw ogólnoludzkich, tym większe będzie jego znaczenie dla ludzkości.

Bo oczywiście pomiędzy pisarzem a innymi ludźmi nie istnieje tak wielka różnica, aby do pisarza mogły odnosić się inne prawa i inne obyczaje. Miesza się tu często pisarza ze sztukmistrem, z komediantem. Tymczasem wartościowy pisarz nie jest sztukmistrzem a najświetniejszą rzeczą, jaką może osiągnąć, jest to, że się staje sto procentowym człowiekiem.

Można by to wyrazić i w ten jeszcze sposób: każdy człowiek jest poetą — mniejszego lub większego formatu. Radoci i troski, nadzieje, rozpacz i marzenia — to wszystko razem wzięte posiada każdy człowiek, a posiada to w tym stopniu, w jakim potrafi te sprawy przeżywać. Tylko że nie potrafi swych przeżyć artystycznie wyrazić, chociaż ten i ów nieraz tego próbuje. Pisarza nie dzieli od innych ludzi żadna przepaść ani żaden próg. Tym tłumaczy się fakt, że inni ludzie mogą to i owo odeń przejąć. Żaden pisarz nie może dać lud łom więcej niż oni sami potrafią odeń wziąć.

Tu chciałbym przypomnieć oberzysztę z la Manchya. Na tej pustynnej wyzniesi.

*) Fragment z książki Martina Andersena Nexo p. t. „Wspomnienia”. Przekład dokonano z wersji niemieckiej; M. A. Nexo — „Erinnerungen”, deutsch von Ernst Hartman, Dietz Verlag, Berlin, 1948. Tytuł fragmentu pochodzi od tłumacza.

gdzie don Kiszot stoczył swoją straszliwą walkę z wiatrakami nie ma zbyt wielu wędrowców, to też oberze nie są zaopatrzone w zapasy żywnościowe. Każdy podróżny musi brać z sobą tyle żywności ile jej będzie potrzebował. Jeżeli ktoś głodny wstępuje do oberzy i pyta, co można dostać do zjedzenia, oberzysta odpowiada mu zazwyczaj tak: „Może pan dostać barenie, lososia, drób — wszystko co pan ma z sobą”. Zadanie oberzyszt polega na przyrządzeniu jadła podróżnemu. I podobne zadanie przypada pisarzowi. Jeżeli jest on dobrym kucharzem, a ci którzy udali się w podróż przez życie, mają również coś dobrego w plecaku, to może im przygotować tak wzmacniający posiłek, że ranie i wesoło będą mogli przebyć następny odcinek drogi. Gdyby na wyżynie la Mancha nie było oberzyszt, podróż mogłaby się łatwo zamienić w uciążliwą wędrowną przez pustynię.

Jeżeli do tego, aby zostać prawdziwym pisarzem, trzeba już od dzieciństwa wykazywać zdecydowane uzdolnienie artystyczne, to za mną sprawy nie posunęły się tak daleko. Wprawdzie — można by powiedzieć — od urodzenia potrafiłem pisać bezbłędnie pod względem gramatycznym, jednakże te umiejętności dziedziczne miały w moim rodzeństwie. Nie objawiała się nigdy we mnie silniejsza ochota do pisania, moję wypracowania i listy zaopatrywane zawsze uwaga: za krótkie. I później również nie miałem nigdy do biurka jedynie dla potrzeby pisenis — dla potrzeby tworzenia! Nigdy nie przedstawiałem za ydsaniem artytmu. I zawsze doznawałem uczucia radości, gdy kwestionowano partie artystowskie w moich utworach, przynajmąc mi jedynie trafność w tym, co dotyczy człowieka.

Na mój język i na moją formę artystyczną wpłynęło z pewnością to, że wolałem wypiekać dla bliźnich chleb razowy niż ciastka. Nie trudziłem się nigdy nad poszezędnymi zwrotami mojego języka, natrudziłem się natomiast nad treścią myślową. Dlatego byłem zaskoczony, gdy zwrócono mi uwagę na pewne osobowości mojego języka na przykład na jego „pryskliwości”. Przy tej okazji chciałbym udzielić odpowiedzi wszystkim tym, którzy mnie o to pytali: pojawiające się w moich pracach przysławia nie dą-
by się chyba odnaleźć w skarbnicach przysłów; najczęściej są to — jak się zdaje — rodzime dzieci mojego umysłu.

Nie dostrzegłem w sobie nigdy wrodzonego, nieprzewidywanego popędu, aby zostać pisarzem, bo w gruncie rzeczy nigdy nie lubiłem siedzenia przy biurku. Zazwyczaj nawet odczuwałem wstręt, aby przed nim zasiąść. Jeżeli jednak mimo wszystko spędziłem przy nim wiele godzin, niewątpliwie wynikało to stąd, że coś mi ciążyło na sercu i że w ten sposób najskuteczniej mogłem zbliżyć się do człowieka. Do polemik dziennikarskich i do publicznych dyskusji nie bardzo się nadawałem. Nie miałem doraźnej ciekawości pióra. Argumenty przychodziły mi na myśl dopiero wtedy, gdy już wszystko minęło. Nie pozostawało mi tedy nic innego niż przelewać swoje poglądy na papier. To jest najwłaściwszy środek zaradczy dla człowieka, który w ogóle nie może nadażyć. Ale argumenty rapsyjne zyskują większą wagę i posiadają szerszy horyzont, dzięki czemu nieraz powstaje z kłmara wielbłąd.

Praca fizyczna zawsze bardziej mi odpowiadała niż praca literacka, skutkiem czego do pięćdziesiątego roku życia pisywałem głównie nocami, aby w ciągu dnia mieć czas na pracę w domu i w ogrodzie. Sen uważałem za kradzież, nigdy więc nie spałem tak mało jak wtedy. Teraz odrabiam dawne zadłości. Nie znalazłem i nie znam przyjemniejszego zajęcia niż zakładanie ogrodu. W moich polecach uprawianie ogorów było zawsze najwyższą formą ludzkiej działalności; wysadasz kamienie, trzebisz gąszcze, zamieniasz je na urodzajną glebę — na sad z niespytkanymi drzewami i krzewami. Nie udało mi się jednak tych marzeń urzeczywistnić. Najpierw musiałem zarabiać na chleb powszedni tam, gdzie nań można było zarobić — a na więcej może sily nie wystarczyła, w każdym razie nie wystarczyła tak długo, dopóki jeszcze był czas na to, aby zabrać się do urzeczywistnienia takich marzeń. Musiałem poprzestać na tym, by z byle czego lub z niezczemu tworzyć ogródki i jakiś opuszczony dom zamienić rzę po rzę na swoje gniazdo rodzinne. Ale i dziś jeszcze chętnie chwytam się każdego wykrytu, aby odobżyć pióro i sięgnąć po szpadel, i dziś jesz-



— Nie chcę być kimś nieużytecznym. Jeżeli Wasza Ekscelencja pozwoli mi zachować się wobec Kortisa, tak jakby to uczynił najbliższy krewny, biorę na siebie tę sprawę.

— Ten warunek obraża mnie! zawałał nie bez afektacji dygnitarz. Z resztą wzdrażał się rzeczywiście na samą myśl o otruciu, a nawet o zastosowaniu opium. Zbliżył, kiedy na radzie ministrów wymieniono opium jako środek, który złagodziłby ból nieszczęsnego Kortisa.

— Pamiętajmy, dorzucił gwałtownie, ile zarzutów postawiono generalowi Bonaparte za użycie opium pod murami Jaffy. Nie możemy się narażać, aby przez całe życie napadały na nas gazety republikańskie, a co gorsza legitymistyczne, które docierają do salonów.

Ta szczerza i świadcząca o mocie Ekscelencji wypowiedź, zmniejszyła straszliwe wątpliwości Lucjana. Pomyślał:

„To wiele gorsze od wszystkiego z czym mogłem spotkać się w pułku. Tam można było zarabzać szabłą albo rozstrzelać, biednego, otumanionego, a nawet niewinnego robotnika, jak to miało miejsce w... Tutaj mogę być zamieszany na całe życie w obrzydliwą aferę trucieliską. Ale, cóż może, człowieka odważnego obchodzić rodzaj niebezpieczeństwa?”

Oświadczył więc stanowczo:

— Pomogę panu, panie hrabio. Może będę żałował przez całe życie, że nie udałem z miejsca choroby i przeleżałwszy ośm dni w łóżku nie powróciłem do biura, gdzie spostrzegłszy zmiany, jakie zaszły w pańskim ustosunkowaniu się do mnie, nie złożyłem dymisji. Minister jest człowiekiem nazybty ucozym (tutaj pomyślał: nazybty zależnym od mojego ojca), aby mnie prześladować, co mógłby uczynić z racji swoich wielkich wpływów, — ale znużono mi się już zofać przed niebezpieczeństwem. (Powiedział to z tępym, niepewnym zapalem). Skoro życie w XIX-ym stuleciu jest aż tak przykre, nie będę zmieniał zawodu po raz trzeci. Wiem doskonale, że narażam się na straszliwe kalamunie, które przygnają do mnie na zawsze; wiem jak umarł pan de Coulaincourt. Będę więc działał, bacząc abym mógł w drukowanym memoriale wytłumaczyć każde swoje posunięcie. Byłoby może lepiej panie hrabio, nawet i dla pana, gdyby dał pan pole do popisu agentom noszącym epolety: Francja wybaca wiele mundurom...

Minister poruszył się niespokojnie.

— Nie chciałbym panu dawać nieproszonych i zresztą spóźnionych rad, ani tymbardziej go obrazać. Nie, chciałem prosić tylko o chwilę namysłu, a więc rzecz naturalna, myślałem głośno.

Powiedział to szczerze i odwadnie. Minister spostrzegł, że nie doceniał uczciwości Lucjana.

„To naprawdę człowiek, i to człowiek twardej, pomyślał. Tym lepiej! Będę mniej przeklinał straszliwego lenistwo mego ojca. Pogrzebał raz na zawsze interesy, jakie moglibyśmy robić dzięki depeszmom i, aby uspokoić sumienie, nie mogę mu zamknąć ust nomenacją na prefekta. Byłoby to najprzystojniejszy sposób, w jaki mogłbym skwitować ojca, jeśli do tego czasu nie umrze na niestrawnność, a jednocześnie umieszkodzić jego salon”.

Bieg myśli ministra był szybszy, niż pióro autora niniejszej opowieści.

Przełożył JULIAN ROGOZIŃSKI

KORTISA

ła go spędzić w sposób przyjemny lub pożyteczny.

— Ależ proszę pana, badałem dziś rano Kortisa, zaskrzeczła śmiało zasuszone figurki z wyglądem skąpcza. Właściwie to już nieboszczyk, po coś więc konsylium?

— Proszę pana, umieścić tę uwagę na wstępie protokołu.

— Ależ proszę pana, nie mówiłem po to, aby moja uwaga została powtórzona...

— Powtórzona, pan się zapomina! Mam zaszczyt oznajmić panu, że każde słowo, które tutaj padnie, zostanie wniezione do protokołu. Zarówno pańska opinia, jak i moja odpowiedź.

Lucjan nie zle odgrywał swoją rolę, lecz wymawiając ostatnie słowa zrobił się purpurowy, co mogło zaostrzyć sytuację.

— Ależ każdy z nas napewno pragnie tylko tego, żeby ranny wyzdrowiał, powiedział najstarszy z lekarzy, chcąc położyć kres zamięszeniu. Otworzył drzwi, wszyscy wyszli na dziedziniec szpitalny, a lekarz, stawiający sprzeciw, odseparował się od Lucjana. Trzy lub cztery osoby przyłączyły się do grupy, idącej przez podwórze. Naczelny chirurg zjawił się dopiero, kiedy otwierano drzwi sali, gdzie leżał Kortis. Wstąpiono do najbliższej łóżki odźwiernego.

Lucjan poprosił naczelnego chirurga aby zbliżył się do zapalonego kinkietu, dał mu do przeczytania list ministra i powiedział w dwóch słowach co zaszczytowało chwilę, kiedy przestąpił próg szpitala. Nad naczelny chirurg był chociażby owym naczelnym i nie zbywało mu na takcie, chociaż wyrażał się z mieszczką emfazy. Zrozumiał, iż sprawa mogła być doniosła.

— Nie róbnymy nic bez pana Monod, który mieszka o dwa kroki od szpitala.

„A, pomyślał Lucjan, to ten chirurg co zdiagnozował agenta, proponującego zastosowanie opium”.

Pan Monod zjawił się po kilku minutach, mrucząc gniewnie pod nosem; przetrzało mu obiad, a na ogół biorąc nie zastanawiał się wiele nad skutkami, jakie mogłyby pociągnąć otrucie agenta. Kiedy dowiedział się o co chodzi, rzekł do Lucjana i naczelnego chirurga:

— Cóż proszę panów, to człowiek skazany na śmierć. To cud, że jeszcze żyje z kulą w brzuchu, i to nie tylko z kulą, lecz i strzępami sukna, przybitką od naboju, i diabli wiedzą czym jeszcze. Rozumiecie panowie, że nie sondałem nawet takiej rany. Skóra jest poparzona, gdyż kosztowała zapaliła się naskórek wyszczerzył. Rozmawiając o tym, zbliżył się do łóżka chorego. Lucjan stwierdził, że Kortis miał śmiało spojrzeć i choć wyglądał raczej na gałgana, nie miał tak obmierzłej gęby jak Desbacs.

— Proszę pana, rzekł Lucjan do rannego, wrócić do domu, zastąpię ten list od pani Kortis...

— Pani! Ładna mi pani, co za osiem dni pojdzie pod kości...

— Niezależnie od tego jakich pan jesteś przekonаний res sacra miser i minister widzi w panu jedynie człowieka cierpiącego. Mówiono mi, że byłeś dawniej wojskowym... Jestem porucznikiem 27-go pułku lansjerów... Jako kolega, proszę, abyś

przyjął ode mnie skromny zasilek, który wystarczy ci na jakiś czas...

I włożył dwa napoleony w rękę, którą chory wyciągnął spod kołdry. Dion była rozpalona i Lucjana zemdziło gdy jej doznał.

— Nareszcie ktoś mówi do rzeczy, odparł ranny. Dziś rano był tu jakiś pan i obiecywał mi emeryturę. Umarlemu kadzidło... gotówki nie zostawił. Ale pan, panie poruczniku jest zupełnie inny i panu powiem...

Lucjan przerwał przedko rannemu, zwracając się do lekarzy i chirurgów, których było razem siedmiu:

— Sądę, rzekł do naczelnego chirurga, że pan powinien przewodzić w konsylium.

— I jak tak myślę, odpowiedział naczelny chirurg, jeżeli koledy nie zgłoszą zastrzeżeń...

— W takim razie moim obowiązkiem jest prosić panów, abyście byli łaskawymi sporządzić protokół, wymieniacz w nim szczegółowo wszystkie nasze czynności. Sądę, że byłoby najlepiej, gdyby jeden z was, którego wskażecie sami, zechciał nam sekretarizować.

Usłyszawszy, że zebrani zaczęli robić podresem niezbyt pochlebne uwagi pod adresem nowych władz, Lucjan dorzucił najuprzejmiejszy jak umiał:

— Byłoby najlepiej, gdybyśmy zabierali głos po kolei.

Zdecydowana postawa urzędnika nakazała wreszcie posłuchać lekarzom. Zbadano i wypytano dokładnie rannego. Pan Monod, chirurg roztaczający opiekę nad salą, gdzie stało łóżko numer 13, złożył zwięzły raport. Następnie wszyscy przeszli do pustego pokoju, w którym odbyło się konsylium. Pan Monod notował, a młody lekarz o nazwisku głośnym już w świecie naukowym, pisał protokół pod dyktando Leuwena.

Na siedmiu internistów i chirurgów pięciu wyraziło pogląd, że śmierć zagraża choremu w każdej chwili, po upływie zaś dwóch lub trzech dni jest nieunikniona. Jeden z lekarzy zaproponował opium.

„A, to tego gałgana przekupił generał N...” pomyślał Leuwen.

Był to bardzo wykwintny pan, o obfitej, jasnej fryzurze, noszący w butonierce dwie przesadnie szerokie wstążeczki orderów.

Lucjan wyczytał tę samą myśl w oczach większości zebranych. Jednak ów pomysł został w kilku słowach surowo potępiony:

— Ranny nie odczuwa ostrych bólów, powiedział sędziwy lekarz.

Ktoś inny proponował, aby choremu przuci jak nawięcej krwi z nogi. Lucjan zrazu nie dostrzegł w tym podstępny, zmienił jednak zdanie, usłyszawszy jak doktor Monod powiedział basem, bardzo zrzęczo:

— Puszczanie krwi będzie z pewnością skuteczne: osłabi chorego, odbierając mu możność mówienia.

— Odrzucam stanowczo ten projekt, rzekł chirurg uciwają.

— Ja też.

— Ja też.

— Jak mi się zdaje wniosek przeszedł większość głosów, powiedział Lucjan, dając mocą ukrzyć wroźnia.

„Byłoby lepiej, gdybyśmy nie pokazywali po sobie, pomyślał, lecz jak to zrobić?”

Kwadran po dziesiątej podpisano raport, dotyczący wyników konsylium i protokół. Panowie chirurgowie i lekarze, wymawiając się pilnymi wizytami u chorych, znikali w marę składania podpisów. Lucjan został sam z chirurgiem olbrzymiego wzrostu.

— Odwiedzę jeszcze rannego, powiedział.

— A ja skończyę obiad. Może Kortis już nie żyje: należy w każdej chwili spodziewać się śmierci. Do widzenia!

Lucjan wrócił na salę, gdzie leżał ranny. Ciemność i zaduch wstrząsnęły nim do głębi. Od czasu do czasu było słychać słabe pojękiwania. Nasz bohater nie widział nigdy nie takiego, co dąba się porównać z tym obrazem; śmierć była dla niego niewątpliwie czymś strasznym, lecz w dobrzym stylu, a nie odrażającym. Wyobrażał sobie zawsze, że umrze na łące, z głową opartą o drzewo, jak Bayard. Taką śmierć stawała mu przed oczyma, gdy myślał o pojedynkach. Spojrzył na zegarek.

„Za godzinę będę w Operze... Lecz nigdy nie zapomnę tego wieczoru... Do widzenia!” powiedział głośno. I podszedł do łóżka rannego.

Dwaj pielęgniarze rozpartli się na krzesłach, ułożywszy wygodnie nogi na ozdobnym stołku. Spali, albo drzemali i wydali mu się prawie pijani.

Lucjan podszedł do łóżka z przeciwnej strony. Ranny miał oczy otwarte.

— Najważniejsze organy nie są uszkodzone, w przeciwnym razie umarłbyś pan pierwszy nocy. Nie jesteś tak ciężko ranny, jak sobie wyobrażasz.

— Ba! odepali chorego, jakby gardząc wszelką nadzieją.

— Drogi kolego, albo umrzecie, albo będziecie żyć, rzekł Lucjan zdecydowanym i nawet serdecznym tonem, jakim zwykły rozmawiać mężczyzna z mężczyzną. Stwierdził, że ranny nie był tak antypatyczny, jak wykwintny pan, dwukrotnie dekorowany. Będziecie żyli, albo umrzecie.

— Nie ma żadnego albo, panie poruczniku. Zrobili mi na szaro.

— Tak czy inaczej, uważajcie mnie za swojego ministra finansów.

— Jakto? Czyżby minister finansów dał mi emeryturę? Miałem na myśli... moją biedną żonę!

Lucjan spojrzył na dwóch pielęgniarzy: nie udawał pijanych, nie byli w stanie ani słyszeć, ani rozumieć co przy nich mówiono.

— Tak, kolego, o ile będziecie trzymać język za zębami.

Spojrzenie konającego rozpoznało się i utkwilo w Lucjanie z zadziwiającą siłą.

— Rozumiecie, kolego?

— Dobrze, ale pod warunkiem, że nie zostanie otruty... mam to gdzieś, ale widziacie coś mi się zdaje, że to jedzenie...

— Mylicie się. Zresztą nie potrzebujecie być na wikie szpitalnym. Macie już pieniądze...

— Jak tylko zamknę jedno oko, te ścierwa mnie okradną.

— Chcecie kolego, żebym wam przysłał tu waszą żonę?

— Do diabła, poruczniku, zacny chłop z pana. Dam te dwa napoleony mojej biednej żonie.

— Jedźcie tylko to, co wam żona przynieś. A ja wam dam słowo honoru, że nic nie ma podejrzanego...

— Niech się pan nachyli, panie poruczniku. Chciałbym panu powiedzieć coś na ucho. Nie nalegam!... Ale, do licha, jak podniosę głowę okropnie boli mnie w brzuchu.

— Dobrze. Możecie na mnie liczyć, rzekł Lucjan pochylając się nad chorym.

— Jak pan się nazywa?

— Lucjan Leuwen, podporucznik 27-go pułku lansjerów.

— Dlaczego pan nie chodzi w mundurze?

— Jestem w Paryżu na bezterminowym urlopie i przydzielono mnie do osoby ministra Spraw Wewnętrznych.

— Gdzie pan mieszka? Przepraszam, niech się pan nie gniewa, ale widzi pan... — Przy ulicy Londyńskiej, numer 43.

— A! W takim razie jestes pan synem właściciela banku Van Pesters i Leuwen?

— Jakbyście zgadił.

Nastąpiła chwila milczenia.



— No tak, teraz panu wierzę. Dziś rano, zemdlałem po opatrunku... a oni myśleli, że jeszcze nie odzyskałem przytomności. Usłyszałem, jak ktoś namawiał tego wysokiego chirurga, ten taki mocny chłop, żeby mi dał opium. Zaklął, a potem tamci poszli. Otworzyłem oczy, ale widziałem wszystko jak przez mgłę: to z upływu krwi... Zresztą wszystko jedno!... Chirurg się zgodził, czy odmówił?

— Czy jesteście aby tego pewni? — spytał Lucjan zakłopotany. Nie sądzę aby republikanów zaalamowało to tak delecce...

Ranny spojrzył na niego.

— Panie poruczniku, nie chciałbym pana obrazić, ale obaj dobrze wiemy kto ich tu przysłał.

— Nienawidzę tych lotrostw, brzydzą się i pogardzam ludźmi, którzy chwytają się takich środków! — zawołał Lucjan, zapominając o swej roli. Możecie liczyć na mnie. Sprawdziłem do was siedmiu lekarzy, jak do generała. Czy myślicie, że tylu ludzi na raz mogłoby mieć konszachty? Macie pieniądze; wezwijcie żonę, albo kogós z krewnych i pijcie tylko to, co żona wam kupi...

Lucjan był na prawdę wzruszony; chore przyglądał mu się uważnie; głowa pozostała nieruchoma, lecz oczy śledziły każdy ruch Leuwena.

— Ano cóż... było się kapralem w 3-im pułku liniowym w Montanraill. Wiem, że już czekając na mnie cztery dni, ale nikt nie lubił, żeby go otruło. Nie wstydę się... i doruczył zmieniając wyraz twarzy, w moim zawodzie lepiej nie być wstydlwym. Jakby generał N... miał serce, a nie kamień, to po tym co zrobiłem na żądanie, które musiał mi powtarzać ze dwadzieścia razy przyszedłby tu zamiast pana. Czy jesteś pan jego adiutantem?

— Nigdy nie widziałem go na oczy.

— Adiutant nazywa się Saint-Vincent, a nie Leuwen, rzekł ranny jakby do siebie... Ale jest coś, co wolałbym od pańskich pieniędzy.

— Powiedźcie.

— Gdyby pan rzeczywiście chciał zrobić coś dla mnie, zgodziłbym się na zmianę opatrunku tylko w pańskiej obecności... Syn pana Leuwena, bogatego bankiera, który ma na utrzymaniu pannę Des Brins z Opery... Bo widzi pan, panie poruczniku, powiedział znowu głośniejszym głosem, będąc mnie bandazować i trach... można raz dwa zdjąć w brzuch lancetem. A to mnie pali, to mnie pali!... To nie potrwa długo, nie może potrwać. Niech pan rozkaże, żeby jutro, bo zdaje się, że tuż, tuż przyjdzie komendantem? I to w dodatku bez mundurku!... Żeby opatrywali mnie tylko w pańskiej obecności... A ten chirurg, wielki chłop, zgodził się, czy nie? Bo to w tym jest rzecz.

Mąciło mu się w głowie.

— Trzymajcie język za zębami, a ja wam wezmę pod opiekę, rzekł Lucjan i przysięg wam żonę.

— Jest pan swój chłop... Bogaty bankier Leuwen z panną Des Brins nie mogą oszukiwać... Ale czy generał N...?

— Napewno nie oszukuje. Słuchajcie, nie mówcie nigdy o generale N...; a tutaj macie dziesięć napoleonów.

— Niech mi je pan wyliczy na rękę... Nie mogę podnieść głowy, bo jak podniosę, diablinie boli mnie w brzuchu.

Lucjan odliczył półgłosem napoleony, kładąc je w dłoni rannego.

— Nie puszczę pary z gęby.

— Dobrze powiedziane. Jeżeli znacznie rozglaszacie sprawę, ukradną wam napoleony. Mówcie tylko ze mną, jedynie w cztery oczy. Będę was codziennie odwiedzał, dopóki nie zaczniecie wstawać.

Został jeszcze chwilę przy rannym, który jakby zaczął mącić. Następnie pojechał na ulicę Braque, gdzie mieszkał

Kortis. Zastał panią Kortis w otoczeniu kumaszek, których pozbył się z niemalym trudem.

Kobieta zaczęła płakać i chciała pokazać Lucjanowi śpiące już dzieci.

— Połowa w tym komedii, a połowa prawdy, pomyślał Lucjan. Niech się wygada, niech się zmęczy!

Wygłoszwszy dwudziestominutowy monolog, bardzo ostroży i naszpikowany kwiecistymi zwrotami, gdyż lud paryski przejął od warstw wykształconych nienawiść do bezpośrednio wyrażonej myśli, pani Kortis wspomniła o opium; Lucjan wysłuchiwał na temat owej trucizny przemówienia trwającego pięć minut, w którym uczucia macierzyńskie przeplatały się z uczuciami małżonki.

— Tak, odparł niedbale, powiadają, że republikanie chcieli dać opium mężowi pani. Ale rząd królewski opiekuje się każdym obywatelem. Otrzymawszy list od pani, sprowadziłem zaraz siedmiu lekarzy do łóżka pana Kortisa. A to są wyniki konsylium, oznajmił podając jej papier.

Spostrzegł, że nie była zbyt mocna w czytaniu.

— Kłóży się teraz ośmielił dać opium pani mężowi? Jednak nabił sobie tym głowę i to mu może zaszkodzić...

— I tak już patrzy na księżą oborę, rzekł raczej obojętnie.

— Nie proszę pani; jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie wda się gangrena, Kortis może się doskonale wylęczyć. Generał Michaud, otrzymał taki sam porząd...

— Ale nie trzeba rozglądać o opium, bo to tylko rozjátz party politycznej. Kortis musi trzymać język za zębami. Sasiadka, której dasz pan czterdzieści sous dziennie, zaopiekuje się dziećmi; zapłać jej z góry za cały tydzień. Wtedy pani będzie mogła czuć przy chorym.

Słowa te odniosły skutek. Pani Kortis przestała być elokwentna i patetyczna. Lucjan mówił dalej:

— Mąż pani będzie jadł i pił tylko to, co mu sama przgotujesz.

— Mój Boże! Jak pomyśleć o szpitalu, to mnie odrazu miedzi... I kto będzie dbał o moje dzieci, biedne sierotki, jak matki nie będzie w domu? Itd., itd.

— To już pani w tym głowie. Jesteś pani bardzo dobrą matką!... Tylko martwię się, że go okradną...

— Kogo?

— Pani męża.

— Mogą go okradnąć! Zabrałem dwadzieścia dwa litry i siedem sous, co je miał przy sobie. Napelniam tabakierkę tego kochanego biedaka i dałam dziesięć sous pielęgniarzowi!

— W samą porę! Nie można było marniejsze... Ale dałem panu Kortisowi dwa napoleony, pod warunkiem, że ani on, ani pani nie będzie gadać o polityce i o opium.

— Dwanaście złotych napoleonów? Wrażenie pani Kortis.

— Tak, proszę pani, dwieście czterdzieści franków, rzekł Lucjan obojętnie.

— Zato żeby nie pyskował?

— Jeżeli będę zadolowany z was obojga, dołożę jeszcze za każdy dzień po napoleonie.

— To aż po dwadzieścia franków? Zapłata pani Kortis, wybituszając oczy.

Tak, po dwadzieścia franków, o ile nigdy nie wspomnisz pani o opium. Zresztą ja sam, dostawałem opium, gdy byłem ranny i nikt nie chciał mnie otruć. Z tym opium to tylko urojenie. Lecz, jeżeli pani cokolwiek wygadasz, jeśli w którejś z gazet ukaże się wiadomość, że Kortis bał się opium, a także rozglądał o swej ranie i bóje z żołnierzem na moście Austerlitz, nie zobaczysz pani grosza; będziecie oboje siedzieć cicho, — zarobić dwadzieścia franków dziennie.

— Od kiedy?

— Od jutra.

— Gdyby pan był taki dobry i zaczął mi płacić od dzisiaj, przed północą byłbym w szpitalu. Moje biedaczko kochane, ja jedna mogę mu wytłumaczyć żeby nie paplał... Pani Morin! Pani Morin! — zawołała pani Kortis. Była to sąsiadka, której Lucjan wypłacił czterdzieści franków za opiekę nad dziećmi w ciągu dni siedmiu. Dał również czterdzieści sous doktorowi, który miał odwiedzić Kortisową do szpitala przy ulicy...

Leuwenowi, zdawało się, że w rozmowie z panią Kortis dobierał słowa, które nawet powtarzane przez niechętnego, nie mogłyby świadczyć, że miał coś wspólnego z pomysłem otrucia rannego.

Wracał zadowolony z ulicy Braque, choć myślał z początku, że będzie bardzo nieszczęśliwy, jeśli nawet — uda mu się pomyslnie przeprowadzić sprawę.

„Choć znalazłem się o krok od infamii i śmierci, powtarzał sobie w duchu, dobrze pokierowałem swoją łodzią”.



ilustrował Mieczysław Piotrowski

I Ś W I A T*)

cze nie znam nic piękniejszego niż jakieś małe gospodarstwo rolne, wydarte głęboko kamienistey i piaskowej. Zyskuje ono w moich oczach o wiele większe znaczenie — staje się symbolem całej kuli ziemskiej, pracownicy kształtowanej przez tyle milionów ludzkich rąk.

Poeta — mówi gdzieś Björnson — człowiek staje się przez to, że spozstrzega i pieści wszystko, obok czego inni przechodzą jak ślepi. — Poeta jest okiem ludzkości, widzącym rzeczy najmniejsze. Od niego ludzkość uczy się współzycia z kwiatami i z ptakami, z dziećmi, z ubogimi i z uczciwymi. Ale poeta musi również lepiej od innych widzieć rzeczy wielkie, musi mieć spoznienie szerokie i musi czuć w sobie wiecznie niepokój, zmuszający innych do nieustannego poddawania coraz to nowemu egzaminowi i ludzi, i ich urządzeń — a więc świata! Tworzyć to znaczy: niczego nie wiedzieć na pewno — a pragnąć poznania wszystkiego!

Nikt nie odmawiał mi niezbędnej dozy naiwności, a nawet braku uzdolnień do analizowania samego siebie. Nie odczuwałem najmniejszej ochoty, aby zajmować się swym własnym wnętrzem. Rzecz wolałem czynnie rozglądać się wokół siebie i brać żywy udział we wszystkich zjawiskach dziejących się pomiędzy niebem a ziemią, niż zagłębiać się w samego siebie i zdawać sprawę z tego co się tam dzieje. Cóż by to było, gdybym zapatrzył się był we własny napek, coż by to było przy tych nerwach, które przyniosłem z sobą na świat!

W świecie, do którego przynależę na mocy swego urodzenia, swego dzieciństwa i swych nastawień umysłowych, człowiek małozajmuje się samym sobą. I niedobrze działaoby się o tym, kto by robił inaczej. Byłby poważała się tu najeżyście, w postaci udręczeń, braków i przeciwności. Gdyby się ulegało niezliczonym troskom własnym, nie znalazłoby się dość miejsca na jakikolwiek poczucie łączności z podobnymi sobie ludźmi. Heł to zbyt słyszałem z ust matki współczujące słowa dla naszych sąsiadów, podczas gdy nam samym zaledwie wystarczyło na opędzenie szalonych potrzeb domowych: „Ach, ci biedacy, któż ich czmykowiłek pozwyli! Niewiele do tego brakuje, aby proletariusz czuł się kimś będącym na

wierzchu. O ile kogós rozboleła zęby, to mu tłumaczono, że od bólu zębów przyrastają siły, zwłaszcza gdy się nie narzeka, a zaciśka zęby. Jeżeli kogós od zbyt ciężkiej pracy rozboleły plecy, to matka pocieszała go takimi słowami: „Plecy — też gadanie! Podzlekuj lepiej Panu Bogu, że w ogóle nie masz pleców, a tylko kości z dziurą w środku!” To było nie tylko pociecha, ale i olbrzymim zadocuczywieniem na tyle zła i niedoli. Dlatego wtedy miałyby się człowiek zbytnio sobą zajmować?

Kiedy wchodziłem do literatury, codzienność i zwykły, prosty człowiek — to były tematy pogardzane. Żądano osobliwych typów, niezwykłych sytuacji — „tego, czego jęszcze nie było!” — i pisarz ranił sobie nogi w gonitwie za motywami, które musiał być tak karkołomne, jak to tylko było możliwe. Aż wreszcie ten i ów z pisarzy doszedł do świadomości, że życie przepiękne jest tworzywem, że życie w ogóle składa się tylko z tworzywa. Polowano na osobliwość, na coś obojętne, na wyjątek, o którym było z góry wiadomo, że ulegnie zapomnieniu, a pozostawiano na uboczu niewyczerpaną i wieczną codzienność. Każde wydarzenie zawiera w sobie twórczy materiał — należy tylko nieść doń żywy stosunek.

Teraz literatura, zajmującą się codziennością, jest bardziej w kursie zarówno u krytyków, jak u warstw wykształconych. I owe najcenniejsze dzieci codzienności zgłosiły się również całym tłumem jako czytelnicy. Literatura gotowa jest po, jak to swoje wielkie uzależnienie. I tu jest ona — wbrew nieubлагanej rzeczywistości — na cwoeney drodze!

Rzeczywistość wymaga od pisarza wiele opanowania — i wiele fantazji. W niej nie ma miejsca na niepokromione galop, dy. Tu nie może być mowy o tym, aby człowiek zdążył sobie głowę z karku i spacerował, trzymając ją pod pachą. Nie można tak po prostu przyjmować pierwszego lepszego rozwinięcia z literackiego śmietniska. Rzeczywistość zna tylko jedno rozwiązanie sprawy, jeżeli sprawa ma się udać. Tylko wtedy dzieło znajduje odzwidk w jak najszerszych kołach. Dziełki tysięcy ludzi przyjmują do swych

sere kogós jednego i rozbliskują im oczy. Dochodzimy do odkrycia, że im głębiej się przenika, tym większa jest wzdzięność ludzka.

Cóż to za szczęście, że człowiek nie jest indywidualnym odizolowanym. Bywa tak, że podejmujesz jakąś pracę bez specjalnej ochoty, że się prawie do niej przyznasz — a mimo to udaje ci się ta praca. Kim albo czym było to, co cię zmusiło do rozpoczęcia pracy, a zarazem wzięło na siebie cały ciężar i wykonało najważniejszą część twojej roboty, tę część, od której zawisa całość? Czy wchodziły tu w grę niewiedzialne, mistyczne siły, czy też owa wielka wspólnota społeczna, która pchnęła cię na tę drogę i współpracowała z tobą jak bajeczne skrzaty domowe? Bywa tak, że ukniesz na czymś beznadziejnie, a potem którejś nocy wyśni ci się to, co ci chodziło, do czego jednak pomimo wszelkich wysiłków umyślnych nie mogłeś dojść. I możesz swą pracę poprowadzić dalej. — Aha, podświadomość! Ale kim lub czym ona jest? Osadę tego, cośmy sami przeżyli, co przeżyli nasi poprzednicy i nasz współcześni? Czy też jest jakimś osiągnięciem ku czemuś, co dopiero ma być przeżyte? Tworzyć to znaczy na różnoraki sposób pracować oczekując na późniejszą aprobatę. Rozmaite sprawy prowadzą twoje pióro!

Dlatego bywa tak, że pisarz stwarza dzieło, które równie dobrze mógłby stworzyć każdy człowiek o tych samych co on poglądach, gdyby tylko o tym był pomyślał — a mimo to mamy do czynienia z najlepszym dziełem danego pisarza. Wielu innych prowadzi twoje pióro! Bo w dziele doskonałym chyba wszyscy biorą udział.

Gdyby poeta, gdyby pisarz był tylko listotą samą dla siebie, gdyby był przypadkiem, który jak spadająca gwiazda przelatuje ponad horyzontem dobrych i dzielnych ludzi albo też na nich upada — tak, wtedy byłby najubożniejszą rzeczą na świecie. Im większa jest wartość pisarza, tym więcej ludzi uczestniczy w jego dziele — i tym większy jest ich udział w tym dziele. Opowiadać o którymś z największych poetów świata, to tyle co opowiadać o samej ludzkości.

Martin Andersen Nexö przełożył Adolf Sowiński

„Afera Kortisa” jest fragmentem powieści Stendhala „Lucjan Leuwen”. Stendhal rozpoczął pracę nad „Leuwenem” po napisaniu „Czerwonego i Czarnego”, zarzucił ją jednak dla „Pustelni Parmeńskiej”. „Lucjan Leuwen” ukazał się w całości w roku 1926, a więc w 86 lat po śmierci autora.

Tematem powieści jest, jak zawsze u Stendhala, kariera młodego człowieka. Lucjan Leuwen, syn bogatego i wpływowego bankiera paryskiego, został za przekonania republikańskie wydany z polityki. Mianowany dzięki stosunkom ojca podporucznikiem 27 pułku lansjerów w Nancy, porzuca wkrótce rzemiosło wojskowe i obejmuje w Paryżu stanowisko sekretarza ministra spraw wewnętrznych, hrabiego de Valze. Prostołiniwny i uczciwy z gruntu Lucjan nie może się pogodzić z stanowiskiem swojego zwierzchnika (dochodzi między nimi do ustawiennych starć), jak z nieuwzględnianiem rządami Ludwika Filipa (akcja powieści rozgrywa się w latach 1834—1836).

Wszystkie prawie postacie występujące w powieści, miały swoje odpowiedniki w ówczesnym świecie Paryża i prowincji francuskiej.

„Lucjan Leuwen” ukazuje się po raz pierwszy w przekładzie polskim nakładem Spółdż. Wyd. „Książka i Wiedza”.

EWA KORZENIEWSKA

**NATURALISTYCZNA
POWIEŚĆ O WSI**

Przed wojną w okresie silnych wpływów naturalizmu jeden z znanych poetów w ten sposób opisywał strajk: najpierw pokazał tłum ludzi, potem ich niepokojne gesty, następnie spocone lysiny głów i sztandar powiewający nad zbiorowiskiem. Dzięki tytułowi i czerwieni sztandaru czytelnik wiedział, o co chodzi. Gdyby nie to, opis mógłby z tym samym powodzeniem dotyczyć procesji, pogrzebu lub zebrania Obozu Wielkiej Polski. Nie było to winą poety, który dał plastyczny obraz tłumowi, widzianemu oczami malarza, lecz winą metody nakazującej odtwarzać życie bez jakiegokolwiek interpretacji ideologicznej. Ważny był obraz wydarzenia — obojętny jego sens społeczny. Wynikało to stąd, że naturalizm okresu międzywojennego był już tylko żądnym epigoniżmem. Rezygnując z naukowych metod obserwacji, rezygnując z wiedzy o człowieku, gubił się bądź w kulcie codzienności, bądź w jałowym psychologizmie. Przeszedłszy przez okres modernizmu, utracił swój szacunek dla wiedzy ścisłej, zachowując chorobliwą wrażliwość na sprawy pięci i nieumotywowany już teraz pietyzm dla drobnych szczegółów i blahych wydarzeń. W twórczości pierwszych naturalistów fakty były materiałem doświadczenia i poddane interpretacji nauk przyrodniczych prowadziły do jakiejś części nawiętej, ale przecież syntetyz. W twórczości okresu międzywojennego metoda naturalistyczna poprzestawała na opisowości, widząc swój cel w rejestracji najpospolitszych zjawisk życia. Jedynie najbardziej utalentowani pisarze i poeci, nawet ograniczając się do samej opisowości, dawali plastyczne obrazy i po przez taką wizję świata umieli odsonić prawdę życia. Poddawali bowiem te drobne fakty jakimś artystycznym kryteriom porządku i celowości — i wówczas zyskiwały one, nawet wobec świadomych intencji, wymowę autentycznego materiału życia.

Jednakże bardzo często metoda naturalistyczna — jak żadna inna — służyła grafomanstwu. Otwierała bowiem przed młodym pisarzem horyzonty nieskrepowanego nieczym gadulstwa. Nie wymagając interpretacji faktów, nęciła swą łatwością, a odwołując się do „prawdy życia”, pozwalała opisywać wszystko: „szarego człowieka”, banalne wydarzenia, procesy twórczości i głęboko tkwiące w fizjologii przejęcia psychiczne. Literatura drugorzędna grzwała w plotkarstwo, bo przecież „prawdą życia” był zanieczszony i smrodliwym dom czynszowy, „prawdą życia” pijak łukący żonę i małżeńskie awantury o zdradę. Powstawały więc grube, kilkusetstronicowe tomiska, które zawsze jeszcze mogły mieć ciąg dalszy, mogły równie dobrze być poprzedzone paru tomami wstępnymi, gdyż konstrukcja powieści została poddana prawom toczące się bez przerwy życia. Nawet twórczość Uniwoskiego, jednego z najzdolniejszych pisarzy międzywojennych, ulega skutkom tej metody, która nawet z utalentowanych autorów robiła kronikarzy „wspólnych pokoiów” i wspólnych ubikacji.

Metoda naturalistyczna okresu międzywojennego jest metodą łatwiną i nieodpowiedzialności myślowej i artystycznej. Czini z pisarza wierne medium notujące wszystko, co przezeń przepływa, często stórkó stawa sprawy społeczne i polityczne na jednym poziomie z piątką w sąsiedztwie a plotkarstwo wynosi do roli sztuki.



Stanisław Piętał

wej kolejności, jest niezmiernie chaotyczna. Autor potęguje jeszcze ten chaos przez częste zastosowanie snu graniczącego z jawą. Ta metoda, manierycznym występującą u Struga i jego naśladowców, zepsuła wiele dobrych powieści. W utworach Piętała, który jeszcze nie zdobył umiejętności plastycznego pokazywania ludzi i zdarzeń, doprowadziła do zupełnego zamazania niektórych postaci i wielu wydarzeń. Powieści o Jasiu Kunefale zdradza naiwną wiarę autora, że ilość postaci i spraw decyduje o dobrej znajomości środowiska. Jest to również jedno z fałszywych przekonań tego naturalizmu, który unika społeczno-ideowej interpretacji życia.

W dwu tomach powojennych — „Nagi grom” i „Ucieczka z miejsc ukojących” — autor usiłuje ograniczyć ekshibicjonistyczną wylewność swego bohatera na korzyść problematyki społeczno-politycznej. Zarysowuje więc codzienne życie wsi podczas okupacji, a potem w okresie reformy rolnej pokazuje walkę o ziemię i wrogą obecnemu ustrojowi działalność sympatyków „Mikołajczyka”. Partie te świadczy, że Piętał mógłby pokazywać doniosłe procesy życia, gdyby przywrócił naiwności naturalizmu i zwłaszcza gdyby został się ze swoim mieszczańskodekadentkim bohaterem. Ten Jasi Kunefal wyżywający się w banalnych przygodach erotycznych i zagubiony w marzeniach o własnej karierze i własnej mocy charakteru jest tu chyba gróźnym nieporozumieniem. Ma tyleż wspólnego z żywą problematyką i życiem wsi, co ze staropolską poezją, która, wedle jego własnych słów, w ten sposób „kontynuuje i odświeża” —

— „A popełdzaże gapu jeden koni! — wolał siedzący na wozie kszynia. Do chorego jechał hen na ustroinie I smutna była błada jego mina!”

Wielu w literaturze polskiej jak dotychczas nie znalazło wielu swoich pisarzy. W okresie modernizmu były „złote rogi” i „pawie pióra”, rozwijony biologizm, krzepa chłopstwa i piękno życia na „lonie natury”. W okresie międzywojennym programy solidarystyczne służyły ochronie ustroju celowo tuszowały i zacierały problematykę klasową. Trochę wielu pisarzy tego okresu było pokazanie, że przedzie człowiek na wsi czy w mieście weszł do przedzie wszystkim istotą myślącą i czującą, poddana tym samym namiętnościom i tym samym cierpieniom. Społeczne ujęcie życia wsi wystąpiło w kilku zaletwie utworach, jak np. Kowalskiego, Kruczkowskiego, Wasilewskiej. Obecnie w powieściach Gałaja, Piętała, Mertona, pisarzy, którzy niewątpliwie mieliby wiele do powiedzenia na temat wsi, problematyka ta ginie pod zalewem słowa i naturalistyczną nawalą szczegółów. Niezmiernie ciekawe i dramatyczne dzieło walki „o duszę chłopca” w okresie przedwojennym, ścieranie się w tym środowisku wstecznej ideologii bogaczy wiejskich z „Plastą”, „Wyzwolenia” a potem SL z nuriującymi prądami chłopkiego radykalizmu i komunizmu, destrukcyjna rola sanacji i jej metody pozyskiwania zwolenników, stosunek wsi polskiej do klęski wrześniowej — wszystko to stanowi problematykę o wielkiej dynamice wewnętrznej. Materiał ten jednakże bardziej niż jakikolwiek inny wymaga prawdziwego i surowego realizmu. Tego realizmu, który poddaje rzeczywistości ostry selekcji i odrzuca fakty przypadkowe, który operując postaciami typowymi umielać w nie prawdę i siłę życia.

Powieść o wsi nie może szukać gotowych schematów, bo ich literatura polska nie wypracowała. Przejmując technikę powieści naturalistyczną — mieszczańską pisarz musi popaść w niezmiernie rażące konwencje. Rażące tym więcej, że konwencjonalne postacie powieści mieszczańskiej — nawet te całkiem udane — pedzili swój żywot bądź w salonach, bądź na przedmieściach. Jasi Kunefal, w zamięczeniu autora, wyszedł z chaty wiejskiej, ale ugrzązł beznadziejnie i od razu w tych pozorach kultury, którymi syciła się znaczna część młodzieży wiejskiej okresu międzywojennego. Był to tandetny kult życia miejskiego, dążenie do „wyrafinowania psychiki”, egotyzm wyżywający się w erotyzmie, i przy tym pozorne społecznikostwo wywodzące się z tajemnych więzi krwi ze wsią.

Powieść o życiu wsi może i powinna szukać swoich rodowodów w realizmie XIX wieku, który społecznie interpretował życie i poddawał je surowym kryteriom moralnym. Czerpiąc ze schyłkowej literatury wieku dwudziestego, powieść ta musi popaść w najbardziej mieszczańską dekadencję, wyznajacj kult sił witalnych, lub też w naturalistyczne pozory prawdy życia.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

CZASY MIKOŁAJEWSKIE

na scenie Teatru Rozmaitości

Pisząc o wystawieniu przez Miejski Teatr Rozmaitości komedii „Śmierć Tarekina” — klasycznej komedii rosyjskiej Aleksandra Suchowo-Kobylna — jeden z recenzentów zauważył tonem trochę dziwnego dla nas zadwożenia, że dekoracje i kostiumy „poszły konsekwentnie po linii odrealizowania czasu i miejsca”. Przy tym słowo „konsekwentnie” oznaczać ma zapewne zgodność tej linii z ogólnym założeniem inscenizacji, bo chyba nie oznacza, że autor recenzji dopatrywał się jakimś cudem zgodności takiej linii z ideą utworu, która jest właśnie bardzo realistycznie związana ze swoim czasem.

Na szczęście cała ta uwaga o konsekwentnym „odrealizowaniu czasu i miejsca” na scenie Teatru Rozmaitości okazała się — po obejrzeniu widowiska — najzupełniej niestosowna mimo pewnej stylizacji kostiumów. Bo gdyby była słuszna, realizatorem należałoby się nie pochylać, ale najsurowsze wymówki za sfałszowanie wyraźnych intencji autora sztuki, za rozważanie celu, w którym bardzo jednoznacznie utkwilo ostrze jego żądliwej satyry. Utkwilo zaś w miejscu określonym historycznie z dostateczną dokładnością i pasją: w czasach panowania Mikołaja I, w najbardziej ponurych czasach ucisku, który sankcjonowała z całą swą pogardą dla człowieka maszyną policyjną — biurokracją, sama w sobie już zwyrodniała i zdemoralizowana do ostatnich granic ludzkiego upadlenia. Wnętrze tej maszyny właśnie ukazują w celnej karykaturze współczesny owemu okresowi autor, odsłaniając całą jej zgniętną i całą jej słańczącą przemoc.

Tym sprawcom poświęcony jest ów pamflet sceniczny. Tym — najbrudniejszą, bo bazującym na wstecznych instynktach ludzkich — cechom ówczesnego ustroju społecznego, przeciw któremu

jednocześnie rodził się już i rozwijał w Rosji carskiej nurt buntu klasowego, moralnego renesansu, nurt podnoszącej godność człowieka myśli rewolucyjnej. Inszenizacja Bohdana Korzeniewskiego — zamyka widowisko nagłą wichurą, która zmiata wielokrotniczych Tarekinów i otaczając ich mury, mając symbolizować podmuch rewolucji zapewne, przewrót społeczny, rozdzielający raz na zawsze ze stęchlą kartę ówczesnej historii. Pomijając na razie kwestię, czy taki chwyt inscenizacyjny nie kłóci się z realizmem utworu, należało by uznać, że ten sposób zamknięcia dowodzi już zupełnie jasno intencji dokładnego osadzenia sprawy w miejscu i w czasie — zgodnie z bardzo realistycznymi celami autora.

Utwór jest realistyczną satyrą. Jego realizm jest jednostronny, lecz przy tej swej jednostronności — preraźliwie wnikliwy. Rysuje obraz jedynie najgorszych zjawisk swego czasu, nie przeciwstawia im żadnego pozytywnego nurtu, nie wskazując na żadne drogi, wiodące ku zmianom, chociaż drogi te już istniały. Jest skutkiem tego pesymistyczny i cyniczny zarazem. Ale to, co w ówczesnym ustroju społecznym oświelta, jest dla rezultatów tego ustroju prerażająco prawdziwe. Ludzie bez moralności i bez idei, w uniformach urzędniczych geseferczarze, szantaryści, osuści i lapownicy. Obraz piękła, jakie w aparacie państwowym Rosji carskiej z połowy dziewiętnastego stulecia rodził specyficzny galimatias schyłkowego feudalizmu, deprawującego służalstwa i reakcyjnej biurokracji.

Satyryczność jednak tego niepełnego, jednostronnego realizmu prowadziła autora ku nierealistycznie już karykaturalnym ujęciom niektórych sytuacji i nawet scen całego. Inspektor Rasplujew — ni był prestidigitator — polyka w swym nie-



Komedia rosyjska Aleksandra Suchowo-Kobylna w teatrze Rozmaitości w Warszawie. Surowa — Rasplujew i Jack Woszczercziewicz — Tarekin-Kopyto.

zaspokojonym łakcństwie cale wianki kiełbasy, a ustawienie w cyrkułe rzędu posłuszenie walących jeden drugiego po bnie policjantów — nabiera równie symbolicznego znaczenia. Takich przykładów stosowania tu dodatkowych treści można by wyliczyć więcej. I posługiwani się przez autora tego rodzaju symbolicznymi sytuacjami umożliwiło inscenizatorom zastosowanie nieco ryzykownego pomysłu końcowej sceny widowiska. Po prostu próbowali dopowiedzieć to, czego nie umiał dopowiedzieć Suchowo-Kobylin. Nie zdziwono. Są przecież o sto lat historii mądrzej od niego i starsi.

Nierrealistyczność niektórych sytuacji i scen zasadniczo nie narusza jednak realizmu sztuki. Jest to dla tego satyrycznego utworu rzecz o granice charakterystyczna. O jego nienaruszalnym realizmie decyduje tu realizmowa postać i ściśle z postaciami związana realizmowa rzeczywistość miejsca i czasu właśnie.

Ci, którzy to widowisko wraz z reżyserem na scenie tworzyli, znakomicie na ogół uchwycili charakter tej gry podwójnej. Tego realizmu postać w ich historycznym czasie — i tych umownych, skarykaturowanych sytuacjach. I pod tym względem właśnie zarówno Woszczerczowie jako radca Tarekin, jak i Surowa w roli inspektora Rasplujewa — trafili w sedno rzeczy: rozwiązywali w sposób śmiały i makabrycznie naturalny swoje dziwaczne sytuacje, budując jednocześnie postacie tak prawdziwe i tak — od najgorszej strony — ludzkie, że przenosili wyobraźnię widza w tamtą epokę i jej przerażające stosunki wprost, bez pośrednictwa przekazywanej pamięci. A to jest chyba największą zaletą aktora... Paluszkiwiec jako Warrawan i Łoziński jako komisarz Och dopiehnali obraz, chociaż ich gra była bardziej komediowa i konwencjonalna.

Ta ostria i żywa sztuka grzeszy na scenie dzisiejszej jednym tylko — ale istotnym doś — mankamentem, o którym zresztą wspomnieliśmy już poprzednio: zgrzyta cyniczna niewiara w człowieka, rysuje jednostorny obraz epoki, a więc ten obraz skrzywia. Po przez pesymizm swój daje w rezultacie fałszywe świadectwo historii — i fałsz ten podsusza nam jak dokument krótkowzroczności autora.

Juliusz Żułowski

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

S. Mściślawski. Szpak, ptak wicsenny. Tłumaczyła Gabriela Roklewska. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1949 — Str. 427 i 5 pl.

Powieść Mściślawskiego ma charakter historyczno-biograficzny, związana jest bowiem z wydarzeniami pierwszej rewolucji rosyjskiej r. 1905, a w jej ramach — z osobą wybitnego działacza partii socjal-demokratycznej, Mikołaja Baumania. „Szpak” to właśnie konspiracyjny pseudonim Baumania, który — jako współpracownik Lenina na emigracji i jego emisariusz — organizuje rosyjską klasę robotniczą do walki nie tylko z carsatem, lecz również z prądami upody i oportunizmu w łonie samego ruchu socjal-demokratycznego.

Opowieść o „Szpaku” obejmuje zaledwie dwa lata (1903 — 5) niezwykle aktywnej i ofiarnej działalności Baumania i kończy się jego śmiercią z rąk „czarnoseciacza” w przeddzień zbrojnego wystąpienia robotników moskiewskich. Ale te dwa lata to okres bardzo doniosły, płodny w skutki dla dzieł rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, wtedy to bowiem zarysowały się z całą wyristością różnice między dwoma prądami ideologicznymi w łonie socjal-demokratji: jedynym, reprezentowanym przez Lenina i drugim, którego przedstawicielami byli mieniszewscy oportunisty. Te spory, przybierając na sile, trwały wewnątrz partii do r. 1912 i zakończyły się otwartym, formalnym rozłamem.

Po przez burzliwe dzieje życia Baumania (wyżeszona i śmiála praca organizacyjna, areszty, śledztwa, więzienia, ucieczki) autor powieści ukazuje — na tie spraw i stosunków ówczesnej Rosji — ścieranie się sprzecznych nurtów ideologicznych w łonie socjal-demokratji rosyjskiej i skutki tych walk w ruchu robotniczym. Na tym polega instruktynwy walor powieści, który czytelnikowi mniej zorientowanemu w historii rosyjskiego ruchu robotniczego pozwala zrozumieć istotę targających wówczas przeciwnieństw a zarazem ocenić genialną leninowską umiejętność przewidywania, która od lat tożowała drogi zwycięstwa Rewolucji Listopadowej.

„Szpak” jest ciekawą i powaźną pozycją beletrystyczną dzięki tematyce dalekiej od powieściowego banalu, oraz bardzo żywej i potocznej narracji absorbującej mocno uwagę czytelnika. Mimo że brak tu wszelkiej intrygi miłosnej, a prócz Baumania (i częściowo dzielnego „bolszewika” Kozuby) wszystkie inne postaci mają charakter raczej epizodyczny, pochłaniamy „Szpaka” — od początku do końca — z niesłabnącym zainteresowaniem i szczerą satysfakcją przyjmujemy do wiadomości, że zabójstwo Baumania, jednego z bohaterów porumu rewolucyjnego w r. 1905, zostało pomszczone i miało w procesie dziejowym daleko sięgające skutki, albowiem — jak pisze Mściślawski — „z jego mgliły w wielkie dni Pałdzernika, pady z karabinów drużyny robotniczej pierwsze strzały do białyh”.

bd.

OD „ CZARODZIEJSKIEJ GÓRY ” DO „ FAUSTA ”

(Dokończenie ze str. 3)

lacionizmu. Rebelia przechodzi więc z konieczności w rezygnację i zwątpienie o samej istocie sztuki. Muzyka nowoczesnego Fausta nąsiąka elementami antyhumanistycznymi, przerażającą się w anizyte tego, co określamy mianem „ludzkie”. W rezultacie więc Adrian Leverkühn ulega irracjonalizmowi, mistyce i mitologizmowi a więc tym prądom, które były duchowo pozytywną faszyzmu. Od tej chwili ściera się wolna droga do piekieł i Leverkühn zapisuje swoją duszę szatanowi.

Transpozycja goethowskiego motywu paktu z diabłem nie ma u Manna znamion symbolicznych i nie rozbiła realizmowej formy powieściowej. Diabeł i satanizm Manna są synonimami pojęć o konkretnej treści społecznej. Szatan jest tutaj rzecznikiem nieludzkiego pierwiastka w sztuce i kulturze, wyrazem samozanikania sztuki a więc skondensowana do ostateczności treścią wewnętrzną samego Leverkühna. Mannowski opis antyhumanizmu sztuki i kultury burżuazyjnej nie opuszcza na chwilę realnego gruntu. W tym sensie dostarczamy „satanicznego” rysy w teoretyku irracjonalizmu w filozofii, docenie „Eberhardzie Schleppfussie”, który mniema, że wolność i humanizm są sprzeczne z duchowym rozwojem ludzkości, czy też w komercyjnym eksploatatorze muzyki — impresariu Saulu Eitelbergu. Diaboliczne jest również sama sztuka odierwana od podłoża społecznego, zasklepiona wyłączenie w problematyce formalnej, sztuka, która nie przemawia do nikogo prócz samego artysty i drobnej garstki wybrańców. „Doktor Faust” jest nie tylko analiza, lecz także gróźnym oskarżeniem i ostrzeżeniem przed pozabawianą człowieczeństwem sztuką okresu imperializmu oraz kulturą wiodącą do duchowego osamotnienia twórcy i nienawiści do człowieka. Triumf szatana jest w tej powieści bardzo konkretny i ziemski, wyrażając się w przewadze pierwiastka nihilistycznego w twórczości Leverkühna. Triumf ten dochodzi do zenitu w genialnej formie symfonii obłąkanego kompozytora, wypranej z elementów humanistycznych, pozabawionej ciepła i szlachetności ludzkiej.

Tomasz Mann docieka tragedii i sztuki burżuazyjnej na tie procesu kształtowania się wybitnej indywidualności muzycznej oraz powstawania dzieła muzycznego. Autor rekapituluje z nieopórnanym kunsztem wszystkie stadia rozwoju muzyki zachodniej od prymitywnej melodii po przez zdobycze instrumentacji i nauki harmonii aż do szaleniej symfonii faustowskiej Leverkühna, znamionującej wyraźny i gwałtowny rozkład — a więc do etapu, na którym „sztuka zatrzymała się w swoim rozwoju, stała się zbyt uczulawa i sama siebie wyszydzała”. Wmontowane w tekst analizy partytur, instrumentalnej orkiestralnych, preludium trzeciego aktu „Meistersinger” oraz ostatniej sonaty fortepianowej Beethovena (siągają wyżyny mistrzostwa pisarskiego. Faustowsko-niemiecki problem przybiera w pamiętniku Zetbloma postać zagadnienia muzycznego. Wszelako muzyka, to według Manna „najbardziej uduchowiona ze wszystkich dziedzin sztuki”, jest w tej powieści ogniskiem skupiającym, jak soczewka promienie słoneczne, wszystkie istotne problemy sztuki i kultury zmierzającej epoki w Niemczech. Powieść nawiązuje zresztą wyraźnie do wielu formacji niemieckiego rozwoju duchowego od czasów Lutra począwszy (pakt z diabłem). W „Doktorze Faustie” odzwijają się echa minionych epok: klasycznej muzyki i literatury niemieckiej, romantyzmu niemieckiego, niemieckiej filozofii, niemieckiego nihilizmu — aż do czasu triumfu i klęski faszyzmu. Niejedno wskazuje, że Mann bada wazny stosunek obu przyręciót na podstawie ich stosunku do Nietzschego. Pomijając już czysto zewnętrzne podobieństwo lpsów Nietzschego i Leverkühna oraz Nietzscheańską skłonność do ekstazy u tego ostatniego, dostrzegamy nawet w klasycyzującym w duchu Goethego, Zeitblome pewne cechy krytyki kultury, zbierne z zapamiętaniami autora „Zaraturysty”.

Mannowska krytyka rzeczywistości niemieckiej jest jednak, pomimo historycznej rozległości i wnikliwości analizy, mocno zwężona w sensie społecznym, Lukacs słusznie podkreśla brak „istotnego feno-

menu” w pisarskim obrazie Manna. Autor Fausta uchwycił wprawdzie szereg społeczno-psychologicznych przyczyn upadku Niemiec oraz wiele obawów tego upadku, pominał jednak dialektyczny związek zjawisk kulturowych z podbowa oraz rolę czynników społecznych, które w historii każdego narodu, a więc i niemieckiego odgrywają, decydującą rolę. To też walka Manna ze współczesną reakcją ma nieraz charakter zbyt abstrakcyjny a humanitarno-liberalny socjalizm, który Mann proklamował wyraźnie później w swym słynnym przemówieniu szwajcarskim o Nietzsche jako cel duchowego renesansu ludzkości, „jest niekrytykowany i mglisty. Powyższe zastrzeżenia nie mogą jednak zatrzeć potężnej wymowy „Fausta” oraz tragicznej ekspresji jego mistrzowskiej prozy.

„Doktor Faust” charakteryzuje najlepiej słowa samego Tomasza Manna, wypowiedziane w jego „Mowie do Niemiec i Niemców”: „Prawdy, które usiłujemy powiedzieć o swoim narodzie, mogą być tylko produktem samokrytyki Niemca, który pomimo wioletowego wgnania i chronicznej choroby, nazwanej przezeń „Herzasthma des Exils”, jest ściśle związany ze swoim krajem. A co najważniejsze — samokrytyką Niemca, który walcząc — nieustannie z hitleryzmem słowem i piórem, nigdy nie zrzucił z siebie odpowiedzialności za zbrodnię swojego narodu. Ta uczciwa i głęboka samokrytyka jest jego przewodnikiem w wędrówce przez niemieckie inferno, wskazując mu w najgłębszych ciemnościach światło nadziei. Jeśli bowiem kronikarz zbłąkanego kompozytora, kończąc swój pamiętnik, zamaluje z rozpaczą ręce nad swoją nieszczęsną ojczyzną, to Leverkühn uświadamia sobie w ostatnim przebiegu swojej świadomości, że przyczyną jego tragedii był brak troski o to, „aby między ludźmi powstał taki ustrój, któryby przywrócił sztuce — jej żyiodajną głębę”. Tutaj finał przechodzi w program.

Roman Karst

*) Stanisław Piętał — „Młodość Jasia Kunefala”, „Białowiejskie noce”, „Nagi grom”, „Ucieczka z miejsc ukojących”, „Książka” 1947—1948.

Ewa Korzeniewska

REKOPISY HISTORYCZNE ENGELSA

Nowa publikacja Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina

Instytut Marksa-Engelsa-Lenina w Moskwie wydał tom X „Archiwum Marksa i Engelsa”, poświęcony w całości rękopisom Fryderyka Engelsa.

Tom składa się z trzech obszernych rozdziałów. Pierwszy — to dwie prace Engelsa o Proudhonie, drugi — prace na temat historii Anglii i Irlandii, trzeci zawiera materiały dotyczące historii Francji i Niemiec. W VI tomie czasopiśmi „Więści Akademii Nauk SSSR” (seria historii i filozofii) znajdujemy obszerny omówienie tej publikacji, pisał L. Holmanna.

Rozdział pierwszy rozpoczyna się obszernym rozbiorem krytycznym książki Proudhona „Ogólna idea rewolucji w XIX wieku”. Prace te pisał Engels w mies. sierpień — październik r. 1861. Zawiera ona krytykę jednego z podstawowych dzieł Proudhona, które zaskarbiło mu tytuł „Ojca anarchii”. Engels napisał swój „Rozbór krytyczny” w związku z zamierzeniem przez Marksa wystąpieniem przeciw tej książce natychmiast po jej ukazaniu się, latem 1861 roku. Marks i Engels uważali Proudhona i jego szkołę za częściowych przeciwników komunizmu naukowego i rewolucyjnych ruchów proletariatu. Po przeczytaniu „Ogólnej idei rewolucji w XIX wieku”, Marks napisał, że „praca ta jest przede wszystkim polemiką z komunizmem”. Marks i Engels podkreślali stałe społeczne i polityczne skojarzenia proudhonizmu jako kierunku, który starał się zepchnąć klasę robotniczą z drogi rewolucji i walki klasowej na drogę kompromisu z burżuazją i zaprzestania walki klasowej, na drogę ugody i reformizmu, przy czym podstawy gospodarcze i społeczne starego eksploatatorskiego społeczeństwa miały być utrzymane w mocy.

Lenin scharakteryzował listy proudhonizmu w ten sposób: „Nie chce on zniszczyć kapitalizmu i jego podstawy i stworzyć towarowej, lecz o czysto ekonomicznej podstawie, narodził się”.

Druga praca Engelsa o Proudhonie pt. „Uwagi o książce Proudhona „Wojna i pokój” dotyczącej roku 1872. Napisał ją Engels w związku z serią artykułów na temat zagadnień mieszkaniowych, przeciw niemieckiemu proudhonizmowi Müllbergowi. Engels krytykuje tu poglądy filozoficzne Proudhona, charakteryzując go jako metafizyka i idealistę. Wskazuje również na podobieństwo koncepcji ekonomicznych Proudhona do reakcyjnej teorii Maltheta, pomimo dzielących je pozornie różnic. Obie te prace o Proudhonie wykładają różne momenty walki ideowej Marksa i Engelsa z tym reakcyjnym prądem, którego dogmatami do dziś posługują się ideowi przeciwnicy komunizmu.

Rozdział drugi tomu zawiera prace dotyczące historii Anglii i Irlandii. Pierwsza z nich to wyjątki z książki znanego historyka angielskiego Doubledaya „Historia finansów angielskich, systemu pieniężnego i statystyki”, oraz krótkie omówienie doń uwagi Engelsa. Książka Tomasa Doubledaya, znanego pisarza radykalnego, ukazała się w roku 1847. Poświęcono jej część angielskiej polityki finansowej w XVII i XVIII wieku i zagadnieniom dotyczącym pochodzenia długów państwowych, praca ta zawiera bogaty materiał ilustrujący gospodarkę oligarchii burżuazyjnej w okresie po „świetnej” rewolucji roku 1688, która przekształciła angielską maszynę państwową w narzędzie nie tylko arystokracji ziemskiej, ale i różnych bankierów i kręgiach finansowych. O radykalizmie autora widać też z ostrą charakterystyką przedstawicieli angielskiej monarchii, np. Jerzego III i „szajki nędznych podłych i rozpustnych dworzaków”, krytyki skorum-powanego systemu rządzenia w XVIII wieku, krytyki różnicujących metod City i towarzyszy handlowych.

Engels potęguje jeszcze ostrość wypowiedzi charakteryzujących „dobrą starą Anglię”. Z własnych wypowiedzi Engelsa wynika jednak, że nie solidaryzując się on bynajmniej z wnioskami Doubledaya. Słowa krytyki pod adresem tego pisarza pokrójmy się z wypowiedziami Marksa, który w „Kapitałe” pisał, że poważna rola długu państwowego w procesie przeobrażenia bogactw społecznych w kapitał i wywłaszczenia samodzielnego drobnych wytwórców wprowadziła w błąd radykalnych, lecz cierpiących na znaną chorobę burżuazyjnej ograniczonej autorów w rodzaju Cobbetta i Doubledaya, „który w tym upatrywali główną przyczynę współczesnej nędzy narodowej”. Biorąc za cel ataku tylko handlowo-lichiwarski odłam ówczesnej burżuazji, jego tylko na długi i szantaż, odwracali jednocześnie atak od kapitalistów przemysłowych, usprawiedliwiają tym samym eksploatację robotników w fabrykach kapitalistycznych.

Opublikowane przez Engelsa rękopisy z historii Irlandii, „pierwszej kolonii angielskiej” (Engels), dają obraz historii Anglii jako imperium kolonialnego, ujawniają okrutne metody jej polityki kolonialnej. Praca Engelsa dotyczy lat 1869 — 1870 i wiąże się ściśle z walką, która obaj z Marksem prowadzili na terenie Międzynarodówki w sprawie Irlandii. Marks uważał, że kolonialny ucisk Irlandii przez angielskie klasy panujące jest głównym oparciem dla ich władzy w samej Anglii. „Irlandia — pisał — jest cyta-dera angielskiej arystokracji ziemskiej”. Angielscy landlordowie i burżuazyjni ziemscy i eksploataują naród irlandzki, rozpalił straszny nienawist między Anglikami a Irlandczykami i droga grabież kolonialnej stwarzała warunki do przetrwania i rozkładu w górach klasy robotniczej. Zarazem angielska klasa robotnicza szowinizmem, odciągając ją od „walki klasowej, wprowadzając roz-

łam w jej szereg i osłabiając tym samym walkę z kapitałem.

Dlatego też Marks uważał, że wstępem do rewolucji proletariackiej w Anglii musi być wyzwolenie Irlandii z kolonialnej niewoli; demaskował wścieczość i konserwatyzm, które w sprawie Irlandii przejawiali ówczesni przywódcy angielskich trade-unions, godząc się na kolonialną ekspansję angielskiej burżuazji. Marks przeciwstawił ich polityce swą znaną zasadę „Internacjonalizmu proletariackiego: „Naród ciemniejszy inne narody kuje dla siebie kajdany”.

Opublikowane rękopisy Engelsa dotyczące historii Irlandii tworzą jakby jedną całość. A więc: „Historia Irlandii” jest początkiem obszernego dzieła, w którym Engels, jak to widac z planu pracy, chciał doprowadzić historię tego kraju do roku 1870. Z czterech projektowanych rozdziałów udało mu się jednak napisać tylko pierwszy i połowę drugiego, obejmują one historię Irlandii do czasu podboju jej przez Anglię w XII wieku. Wojna francusko-pruska, Komuna Paryska, obowiązki w Międzynarodówce nie pozwoliły Engelsowi dokończyć tej pracy. Jednakże materiały przygotowane do wszystkich rozdziałów był już gotowy i część prac weszła w skład X tomu „Archiwum”. Historia Irlandii jest w nich doprowadzona prawie do końca XVII wieku, a niektóre uwagi dotyczą nawet okresu późniejszego.

Mocno i przekonująco opisuje Engels smutne następstwa angielskiego panowania w Irlandii. Angloszy zamienili Irlandię w dodatkę rolni do metropolii, skazali naród irlandzki, jak pisał Engels, na zafocianie gospodarcze i nędzną vegetację. Angloszy „grubiłanko deptali”, prawie każdy kłosek irlandzkiego przemysłu, lewde dżdżyły tylko wyrzucić na świat”.

Zwraca również uwagę na żalony stan żeglugi po wielowiekowej „opiecz” narodu najlepszych żeglarzy.

Engels głęboko sympatyzuje z walką Irlandczyków o wolność i uważnie analizuje wszystkie fakty mające związek z historią tej walki. Jednocześnie wytyka jednak wiele słabych stron w irlandzkim ruchu wolnościowym. Główną rolę w tym ruchu, szczególnie w pierwszym okresie, odgrywała klasowa arystokracja, która wniosła doń swe dziedzictwo w postaci walk domowych, zatarłów, intryg międzynarodowych, jakimi opłatyli Irlandię reakcyjne państwa, Hiszpania Filipa II, Stolica Apostolska itp. Wszystko to, uwzględniając jeszcze zafocianie i słabość Irlandii, powodowało niepowodzenia w licznych wojnach z Anglikami. Engels piktuje szowinizm historyków angielskich, którym zarzuca fałszowanie historii i tendencyjne próby wybielenia angielskiej polityki w Irlandii. Krytycz-

nie odnosi się również do nacjonalistycznej historiografii irlandzkiej, której zarzuca, że legendy i wymysły wszelkiego rodzaju stały się „historną częścią składową irlandzkiego patriotyzmu”.

Rozdział poświęcony Anglii i Irlandii kończy się „Chronologią ruchu czarystów”, którą zestawil Engels w roku 1866. Miała ona być pomocną Niemcom Schlitterowi, który pisał wówczas swoją znaną pracę o czaryzmie”. Tablica Engelsa podaje fakty z historii czaryzmu, związane z ważniejszymi wydarzeniami w historii Anglii, i uwiadcza wpływ proletariatu angielskiego na losy swego kraju. Engels opisuje znaczenie walki proletariatu w kierunku demokratyzacji angielskiego ustroju politycznego.

Trzeci rozdział zawiera materiały z historii Francji i Niemiec.

Historia Francji i Niemiec zajmował się Engels przeważnie równolegle ze względów metodologicznych. W liście do Mehringa z 14 lipca r. 1893 pisał na przykład: „Uczę się historii Niemiec, która jest straszliwie uboga, uważałem zawsze, że dopiero porównanie z odpowiednimi epokami historii Francji daje prawidłową skalę”.

Historii Francji poświęcone są wyjątki z książki znanego historyka francuskiego Henri Martina, omawiające historię Francji średnich wieków, w szczególności wiek X do XII. Poruszane są sprawy walki miast średnio-wiecznych z seniorami, społeczne skutki wypraw krzyżowych itd. Omówione są również wczesne powstania chłopów w Normandii w roku 997 i w Bretanii, gdzie w roku 1024 „miała miejsce prawdziwa wojna klasowa” (Engels). Szerog komentarzy Engelsa skierowane jest przeciw nienaukowym i modernizatorskim tendencjom autora, który np. w ruchu średnio-wiecznych komun miejskich upatrywał prawie że cechy francuskiej rewolucji burżuazyjnej z końca XVIII wieku, „Osiol Martin już widzi w nich wolność, równość i braterstwo 1789 roku!” — mówi o nim Engels”.

W notatkach Engels podkreśla walkę o centralizację i zespolenie kraju. Bardzo interesujące są uwagi dotyczące kultury francuskiej owych czasów, zwłaszcza Abelarda. „U Abelarda najważniejsza jest nie sama teologia, lecz przeciwstawienie się autorytetowi kościoła”.

Inne rękopisy tego rozdziału poświęcone są historii Niemiec. Engels bardzo wnikliwie wyjaśnia historyczne to rozdrobnienia Niemiec i długotrwałe panowanie reakcji. Porównując np. przebieg procesu konsolidacji narodowej w różnych krajach — Francji, Hiszpanii, An-

glii i Niemczech — Engels wskazuje nie tylko gospodarcze, lecz polityczne przyczyny hamujące ten proces w Niemczech i nie pozwalające im na zjednoczenie się w XV stuleciu, jak to miało miejsce w innych krajach. „Niemcy, nie bacząc na brak wlezi ekonomicznej, mogły być także scentralizowane, a to nawet wcześniej (np. za Ottonów) — pisze Engels — gdyby tytul cesarza rzymskiego i związane z nim zarządzenia o panowaniu nad światem nie uniemożliwiły unstytuowania państwa narodowego i nie doprowadziły do roztrwonienia sil w wyprawach zdobycznych do Włoch”.

Postępowemu więc rozwojowi Niemiec nie udało przeszkodziła żądza zdobywania i mania panowania nad światem, której podlegli niemccy cesarze, jak Otto I, Fryderyk Barbarossa itp. W Niemczech przedstawiciele monarchii bardziej niż inni ogarnięci byli żądzą zdobywania i nie mogli odegrać tej roli konsolidacyjnej, jaką odegrała np. władza królewska we Francji. Engels wykazuje, jak słabość wewnętrzna i rozdrobnienie Niemiec, utrzymywane i wykorzystywane przez europejskie państwa absolutystyczne, zrodziły w tym kraju różne odpychające zjawiska: despotyzm książęcy, lizusostwo, pochlebstwo, sprężalność polityczną itp. Był to podany grunt dla wzrostu reakcyjnych Prus i przyszłego spruszczenia Niemiec.

W zakończeniu Engels ostro występuje przeciw grabieżczemu państwu pruskiemu, demaskując jego dążenia do podbojów terytorialnych. W małym fragmencie o pruskiej armii proroczy przepowiada haniebna klęskę agresywnej monarchii junkierskiej, historycznego prozdka faszystowskiego Reichu, w wojnie z Rosją, w wojnie, która może trwać cztery lata i da Prusom tylko niemoce i przestrzelone kości”.

W końcu tomu opublikowane są „Materiały wstępne do broszury „Rola przemocy w historii”. Broszura, którą Engels pisał w roku 1897/8, pozostała niedokończona. Sądząc z zebranych i przygotowanych materiałów, Engels zamierzał poddać ostrej krytyce reakcyjne stosunki w bismarckowskich Niemczech i na przykładzie wewnątrznej i zagranicznej polityki Bismarcka po roku 1870 wykazać, jakie zaosne perspektywy czekały w niedalekiej przyszłości „niemieckie cesarstwo narodu pruskiego”. Nazywa je państwem policyjnym, demaskuje bożyszcze klas rządzących, „żałaznego kanclerza” Bismarcka, jego junkierską ograniczonosć i zasnieźalnosć jego polityki.

W zakończeniu Engels zamierzał, jak widać, przytoczyć fakty charakteryzujące wstęgi zbrojeń, militarny, gorączkę kolonialną Rzeszy Niemiec. W materiałach swych przewidywał, że doprowadzi to do wojny światowej, przewidywał również klęskę bismarckowskiego państwa.



Apollo w spodniach czyli Rzeczy wstydlive

Imię, którym podpisuje swoje felietony, świadczy o tym, że jestem istotą prostą i pełną dobrej wiary. Wyobraźcie więc moje zdumienie, gdy kilka dni temu przeczytałem następującą wiadomosc:

„Policja rzymska zakazała 8 m. publikowania afiszu związanego z uroczystosciami, które odbędą się we Florencji ku czci Medyceusza Wawrzyńca Wspaniałego. Zakaz został umotywowany tym, że podobna Venus Botticello, która znajdowała się na afiszu, stanowi obrazę moralności”. Poseł socjalistyczny Calamandrei, który zatelefonował do szefa policji domagając się wyjaśnienia, usłyszał w odpowiedzi, iż „zakaz oparty jest na zarządzeniach władz wyższych”.

Doprawdy, moje zdumienie było ogromne. Jak to być może — myślałem w swojej prostocie ducha — iż piękna Italia i jej pogodny lud wstydzą się dziś boskich kształtów wielkiego Renesansu? Prawdziwa sztuka — wspominałem czyżby myśl — zawsze daleka jest od grzechu i tylko małostkę każe w jej prawdzie dopatrywać się bezwstydu. Czy wszystko jest w porządku — szepciałem w duchu — na tym najłepszym ze światów, gdzie piękno zostało uznane za rzecz wstydliwą?

Moje zdumienie wzrosło, gdy podczas pobytu w Rzymie poszedłem do kina. Wioski tygodnik aktualności filmowych nosi nazwę „Sattimana Incom”. Czym dla wytwórni „Metro Goldwyn Meyer” jest gniewny lew ukazujący się na ekranie przed rozpoczęciem filmu, tym samym dla tygodnika „Sattimana Incom” jest posag Apolla Belwederskiego. Słynna rzeźba stanowi firmowy znak „Sattimana Incom”, publiczność włoska przywróciła od wielu lat, że młodzieńcy Apolla na ekranie, to zepowiedź kroniki tygodnika. Ale w dniu, o którym piszę, stała się rzecz niesłychana. Gdy, w chwili po zgazzeniu światła, na wiekim, białym płótnie zjawil się popularny anons „Sattimana Incom”, nagle sala zawrzała od śmiechu, tupania i przekleństw: Apolla di Belvedere ukazał się w spodniach! W krótkim spodenkach, podobnych do amerykańskich shortów. W celu uniknięcia „obrazy moralności”, na zlecenie szefa policji — „Sattimana Incom” zapatrzyło w donną bliem jedno z najpiękniejszych dzieł starożytności. Czy wszystko jest w porządku — pomyślałem sobie — na tym najlepszym ze światów, gdzie amerykańskie shorty mają oslonić, jako rzecz wstydliwą, klasyczne piękno starożytności Grecji?

Wkrótce jednak wyjaśniono mi przyczyny powyższych zarządzeń. Dowiedzialem się, że dzisiejszą Italią rządzi chrześcijański premier de Gasperi i chrześcijański minister spraw wewnętrznych Scelba, że na stolec papieskim, pod światłoblywym imieniem Piusa XII, zasiada Eugeniusz Pacelli, że lud Italii nadal żyje w ucisku i nędzy, i że nad półwyspem Apenickim, od Sycylii do Alp, zawisła złowieszca ręk obcego mocarstwa...

— Jak pan więc widzi — tłumaczono mi — nie wiele się tu zmieniło od dni, które tak barwnie opisał p. Stendhal w „Pustelni Parmeńskiej”: chrześcijański władcy, uciskany lud, światoblywy Papa di Roma i... złowieszca ręka obcego mocarstwa. Święte przymierze reakcji, wyzysku i obłudy nadal czuwa nad naszym biednym krajem. Zmienił się co prawda ministerowie, zmienił się obce mocarstwo, ale Papa di Roma jest wieczny. Już jego poprzednik prawie sto lat temu nakazał przylepieć listki figowe we wstydlivich miejscach posągów watykańskich. Dziś natomiast są w modzie amerykańskie shorty. Znak czasu, signore.

— Ale czemu to służy? — jęknąłem, nie nie rozumieje.

— Odwracaniu oczu od rzeczy wstydlivych — brzmiała odpowiedź.

— Ależ to nonsens! — wykrzyknąłem wzburzony.

— Od nędzy — tłumaczył mój rozmówca — od przemocy, od niesprawiedliwości. To są rzeczy wstydlivie, od których należy odwracać oczy ludu, aby przyłtimu jego gniew. Papa di Roma wie co czyni: woli potępić nagosć Antyku i Renesansu, niż imperializm Stanów Zjednoczonych.

— Czy być może? — westchnąłem zgłębiony.

— Niech pan przeczyta tę notatkę, signore. Wyciąłem ją w roku 1942 z „Osservatore Romano”.

„W przemówieniu swym, wygłoszonym w dniu wczorajszym do katolickiej młodzieży całego świata — czytatem — Ojciec Świętyj przestrzegł rzesze młodych wieernych przed zbytnim i przesadnym hotdowaniem zewnętrznej modzie, którą określił jako najniebezpieczniejsze w stosunku do cywilizacji, wypaczające serca i umysły”.

W chwili gdy Papa di Roma wygłaszał to przemówienie, setki tysięcy ludzi na koncencie jęczało za drutami obozów koncentracyjnych, za murami gett, w celach faszystowskich więzień. Ale to były także rzeczy wstydlivie, signore. Klęskę tego czasu stanowiła przede wszystkim moda. Niech pan jeszcze przeczyta drugą notatkę, pochodzi z roku 1936.

„Mussolini — czytałem — jest nie tylko godnym nadsławiania szefem rządu, lecz przede wszystkim światłym odnowicielem Rzymu, Rzymu — miasta Boga, Rzymu przez Opatrzność wybranego na stolec świata, której tronem jest tron Papieża, a standardem — Krzyż”.

— Te słowa wypowiedział kardynał Eugeniusz Pacelli w dniu, gdy masakra Abissynii była już zakończona. Płynęła wówczas obficie krew ludu hiszpańskiego. „Godny nadsławiania szef rządu” rozkazał swym eskadrom lotniczym bombardować ziemię katolickich Basków. Czy to nie są także rzeczy froszkie wstydlivie?

— Do prawdy — szepiałem reszka tchu — chyba nie wszystko jest w porządku na tym najlepszym ze światów...

KOESPONDENCJA

Niefortanna obrona Kadlubka

Ukazała się na półkach księgarskich nowo wydana Galla Anonima Kronika. O tej Kronice znajduje się w nr 14 (212) „Tyg. Powszechnego” krytyczne omówienie opracowane p. P. B.

Autor recenzji nie tyle zajmuje się samą Kroniką, ile obroną Kadlubka czyli wstępem prof. Krzyżanowskiego, pisząc: „Wiekszą usterką tego wstępu wydaje mi się powiedzenie o Kadlubku, że „prawdomównosćią nigdy (!) nie grzeszył”. Od czasu K. Wojciechowskiego utrzymuje się ta dyskwalifikacja moralna kronikarza Wincentego... dalej: nie wymagamy od niego, aby się wyzwolił od sądów ludzkich, jak się wyzwala historyk w XX wieku. I Gall także o wydarzeniach pisał tak, jak o nich mówiono w jego otoczeniu”.

Ta obrona Kadlubka przez historyka XX wieku pana P. B. nie jest obroną logiczną, bo skoro Gall pisał to, co mówiono wtedy, za tym słusznie pisał: „ani zdrzeć biskupa pochwalamy... Wincenty zaś nie wykorzystali Kroniki Galla, ale w swej Kronice szeroko rozpisal się o niewierności biskupa Szczepanowskiego (nie dziwnego: sam był biskupem). Kadlubek był autorem legendy o biskupie Stanisławie, on przecież infundował pomnik nad grobem Szczepanowskiego i zalecił spisywanie cudów. Do chwili, kiedy to Wincenty wymyślił niewiemość biskupa Stanisława, a króla nazwał tyranem, gucho było o świętości Stanisława. „Vita minor” przypada na rok 1220. Ze Szczepanowski został świętym, złożył się na to przede wszystkim: zwycięstwo duchowieństwa nad władzą świecką, brak narodowego świętego. (Wojciech był Czechem i zwioki jego znajdowały się w Gnieźnie, a Kraków musiał aż z Niemiec sprowadzić sobie patrona, jakiegoś żołnierza, którego zwano Florianem.)

Pamięć o biskupie Stanisławie została odywiona także przez przypadek. Oto w roku 1172. wojewoda mazowiecki zamordował biskupa płockiego Wernera, w sporze o nieprawnie przez biskupa zagrabioną wieś. Bezpośrednio po tym wypadku nikt nie myślał o tym, że Werner powinien zostać świętym, dopiero po 70 latach dziekan płocki Jan pomyslał o kanonizacji zamordowanego biskupa i udowadniał, że biskup Werner zginął w obronie kościoła. Kanonizacja ta nie udała się, a o kanonizowaniu Szczepanowskiego nie myślano. Ale gdy arcybiskup angielski Tomasz Becket został zabity i ryczo kanonizowany, du-

Kalipso — nie nimfa

W n rze „Kuźnicy”, poświęconym Puskiniowi, umieszczone są dwa rysunki pety, przedstawiające — „nimfę Kalipso”. Jest to nieporozumienie. Owa Kalipso nie ma nic wspólnego z nimfą znaną z greckiej mitologii, jest to realna postać — Greczynka, która oświeciła znał Puskina, przybyła z Grecji; mówiono o niej, że była kochanką Byrona. Do niej skierowany był wiersz Puskina, „Do Greczynki” (Ty rodziona wosplamieniam woobrażenie poetów...).

W tymże numerze czytamy ciekawą próbę interpretacji paru wierszy Słowackiego, dokonana przez Karola Płękosia. Autor nie wziął pod uwagę jeszcze jednej możliwości interpretacji tekstu: mianowicie wyraz „śmiecie” może być czasownikiem („śmiećcie”, „ośmielacie się”), wówczas trzeba było by czytać „piornem” myśli podniesione śmiecie gnąć”. Sens byłby taki: „lub w Słowiańszczyźnie bez echa toniecie, lub na koronę potrójną papieża śmiecie (ośmielacie się) gnąć myśli podniesione piornem...” Przy tym zabrałoby w następującym wierszu jednej zgłoski, zastąpić ją można byłoby zaimkiem „ja”, „ja znam wasze porty i wybrzeża...”

Niefortanna obrona Kadlubka (cont.)

Prof. Tadeusz Wojciechowski pisał swoje „Szkice XI wieku”, opierając się na Kronice Galla. Działem tym wywołał oburzenie u historyków „spod znaku Kadlubka”. (Krotowski, Czernak, Kętrzyński, Prohsaka, Smolka). Odpowiedział im T. Wojciechowski w rozprawie pt. „Pamięć Kadlubka”, gdzie podał fotografię ustępu dotyczącego śmierci Szczepanowskiego w Kronice Galla...

Pan P. B. nie tylko stara się ratować honor Kadlubka, ale nawet słowo „zdrajca” wybielił. Otóż ten wywód historyka „Tygodnika Powszechnego” też nie jest nowością. Identycznie to samo wypisywali przeciwnicy prof. T. Wojciechowskiego. Wydał dziesiątki pseudo-naukowych „filologicznych” elaboratów mających udowodnić, że „traidor” po łacinie nie oznacza zdrójca. O tym pan P. B. tak pisze: „Słowo „zdrajca” było wówczas w obiegu (dlaczego właśnie wówczas?) — jak wiele dzisiejszych przezwisz, użył go Gall, z pewnością nie przypuszczając, że to obiegowe określenie po 7 wiekach wywoła gwałtowne spory historyków... Interpretacja nie tyle dziwna, co naiwna. Wszelo u nas po wojnie w modę przeszło „szabrownik”, ale choć było w obiegu, otrzymał je ten, który na nie zasłużył, tzn. był szabrownikiem...

Poza tym recenzja o Kronice Galla była pisana bardzo pośpiesznie, skoro autor zapominał, że Konstanty Wojciechowski pisywał historię powieści polskiej ale z Kronikami nie miał nic wspólnego. Wlęc nie K. Wojciechowski, tylko T. Wojciechowski. Ta zasadenka omyłka, nie sprostowana ani przez redakcję ani przez autora, dyskwalifikuje obrońcę „zdrajców”...

W sprawie „Sciany śmierci”

Na ulicach Warszawy zjawily się afisze reklamujące „mrożące krew w zylach „wi-dowskie”, „wielkie niebezpieczeństwo śmierci”, „wznowione po wielu latach przerwy” itd. itd. — pt. „Sciana śmierci”.

Sprawa może jest blaha, ale wydaje mi się, że właśnie w Warszawie, gdzie przy alejach Sikorskiego, przy ulicy Piłsa, przeciwko Rakowieckiej przy Puławskiej i w tylu innych miejscach istnieją uświęcone krwią pomordowanych bohaterów prawdziwe ściany śmierci, reklama widowiska karkołomnej jazdy na motocyklu „po sześciometrowej pionowej ścianie” jest co najmniej niemaczną. Sądze, że ludność Warszawy nie bardzo popiera niezdorwe widowisko, ale bardziej dziwi się należy niefortunemu przedsięwzięciu i wybitnie złemu gustowi reklamowanych plakatów.

Fakt jest tym bardziej przykry, że opisany afisz sąsiaduje na pilonach Związku Inwalidów Wojennych z pięknym graficznie i chyba bogatym w wymowę afiszem filmu „Ostatni etap”.

St. Rybicki Leon Bukowiec

Kandyd.

PRZEGLĄD PRASY

Piękna sztuka czytania

Sprawy literatury zajmują miejsce nie tylko w piśmie ściśle literackich. W roku 1949 — jak to zwykle bywa w każdym roku jubileuszowym — literaturze poświęca się niemal tyle miejsca w prasie codziennej, ile go dotąd zajmowały inne, nie literackie sprawy. I tak jest dobrze i słusznie. O czymś jednak musi świadczyć to, że i prawie nieznanne w przedwojennej prasie polskiej zjawisko. Imiona Mickiewicza i Puszkina, Słowackiego i Balzac są tak często drukowane na łamach naszych dzienników nie tylko dlatego, że z tymi imionami łączy się data jubileuszowa. Zjawiają się one tam dlatego, że jednocześnie nadchodzą sprawozdania z polubaw i z analfabetyzmem. To połączenie — jakkolwiek na pozór ryzykowne — wydaje mi się jednak całkowicie naturalne. Tam, gdzie likwidacja analfabetyzmu staje się sprawą społeczną i polityczną, wydatki na wykształcenie i na opanowanie pięknej sztuki czytania będą czerpały nową energię i nowe wzmocnienie.

Z naturalnego podziału zadań prasy wynika jej różnorodność. Tak wypadło, że z braku miejsca a także i z braku możliwości bardzo pilnego studiowania dzienników w wielkich miastach prasa została w całości oddana w ręce literatury. Ale mówiąc szczerze, wydaje mi się, że w obecnej chwili, gdy równoległe do zmian nieustannie zachodzących w ekonomicznej, społecznej i politycznej strukturze naszego kraju, odbywają się zmiany również w umysłach ludzkich, gdy dawna inteligencja przestaje być wyłącznym arbitrem w sprawach kultury, gdy tworzy się inteligencja nowa — najważniejsza może jest rola prasy codziennej, masowej, popularnej. Poczta nie dostarcza na wieś ani „Kuznicy”, ani „Odrodzona”, lecz „Chlopską Drogię”, „Rolnika Polskiego” i gazety. Pisma literackie nie przekraczają kilkunastu tysięcy nakładu, pisma codzienne i tygodniki masowe przekraczają setki tysięcy. Z tej przynajmniej statystyki wynika, że masowa propaganda kultury a nawet masowa propaganda własności gustów literackich można byłoby osiągnąć przez odpowiednie postawienie tych spraw w prasie codziennej. Tak się też dzieje: stąd w dziennikach, nawiązując do wielkich pisarzy polskich i obcych zjawiają się w tych kilkunastu powojennych częściach niż w ca-

łej prasie codziennej w Polsce od roku 1918 do roku 1939. I to jest niewątpliwie wielkie zwycięstwo w bitwie o kulturę, zwycięstwo nie mniejsze od tych, jakie odniesiono w dziedzinie gospodarczej i społecznej. Te zwycięstwa warunkują się wzajemnie. Gdy wzrasta wydobycie węgla, wzrasta produkcja żelaza, ale jednocześnie rośnie produkcja papieru itd. Od nas tylko zależy, co na tym papierze będzie wydrukowane.

Istnieją dwa modele kultury, podobnie jak są dwa modele struktury politycznej i gospodarczej. Pierwszy model kultury to wyrafinowana literatura dla szlacheckiego kręgu czytelniczego i w najlepszym wypadku elementarza dla tzw. ludu, drugi zaś model — to przyswojenie najszerszym warstwom ludzi pracujących najlepszej, zawierającej najwięcej prawdy literatury, sztuki i wiedzy, a także — co wydaje mi się niezmiernie doniosłe — wyzwolenie w tych ludziach ich własnych możliwości, ich własnych zdolności twórczych. Nie inaczej przystąpiła do kształtowania się wielka literatura i sztuka w przeszłości.

Wiadomo wszystkim, który z tych dwóch modeli kultury znalazł zastosowanie w Polsce. Wybraliśmy model drugi. Nasz wybór jest zgodny z całym historycznym doświadczeniem człowieka, wynika z dotychczasowej praktyki postępowania każdej nowej klasy, która budowała lepszy świat na gruzach świata starożytności. Po raz pierwszy w historii jednak tak się dzieje, że klasa robotnicza, która w naszej epoce uzyskała władzę — wyzwalała siebie, wyzwalała jednocześnie wszystkie, co w człowieku jest cenniejsze i prawdziwsze. Stąd przyswieszczenie tej klasy z wielkimi postępowymi pisarzami przeszłości. Stąd wreszcie nasz szacunek dla nich. I właśnie dlatego dzieje się dziś w Polsce tak, że Mickiewicz, Słowacki czy Pułaski z podręczników literatury, ze szpalt pism specjalnych i literackich zeszedł na łamy prasy codziennej. Tam, obok wiadomości o ofensywie chińskiej armii ludowej, o egzekucjach republikańskich hiszpańskich, o strajku kolejarzy w Anglii, jest właśnie ich miejsce. Wracają po latach między tę pełną walki, sprzeczności i trudności rzeczywistość, bez której nie powstaje żadne dzieło literackie, bez której ich imiona nie nabrałyby blasku. I to jest jeszcze jedna cecha naszego modelu kultury — potrafimy przywrócić życie temu wszystkiemu, co dawniej umierało, co żyć nie mogło w epoce państwa, egoizmu i pogardy między ludźmi. Potrafimy ożywić, uczynić własnością ludzi, uczynić jeszcze nie umiejących czytać, całą potężną tradycję — z jej literaturą, z jej sztuką i nauką. W tym świetle ustawa o likwidacji analfabetyzmu wydaje się najchlebniejszym, najpiękniejszym aktem.

ph

NOWE WŁADZE ZAIKS-u

26 maja 1949 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Członków „Zaiku” a w dniach 27, 28 i 29 maja — Walne Zgromadzenie 14-tu Sekcji wchodzących w skład „Zaiku”. Nowe władze ukonstytuowały się w sposób następujący:

Rada Naczelna. Prezes — Jarosław Iwaszkiewicz, członkowie — Władysław Daszewski (Sek. Plastyczny), Zofia Dembińska, „Czytelnik” (Sek. Wyd. Książek), dr Jan Gebethner (Sek. Wyd. Nut), prof. Romuld Gutt (Sek. Architekcyjna), Aleksander Ford (Sekcja Filmowa), Władysław Krasnowicki (Sek. Inscenizatorów), red. Mieczysław Krzeczowski (Sek. Publicystyczna), Leon Kruczkowski (Sek. Autorów Dram.), Zygmuć Mysłowski (Sek. Muzyka), Zofia Nalkowska (Sekcja Literacka), dyr. Zbigniew Pekosiowski (Sek. Fotograficzna), prof. Stefan Straszewicz (Sek. Naukowa), Zygmuć Wiewer (Muzyka lekka), Tadeusz Zerowski (Teksty liter. drobne).

Zarząd Główny. Przewodniczący — Stanisław Ryszard Dobrowolski, wiceprzewodniczący — Jerzy Jurandot, Eryk Lipiński, Bronisław Wiczorekiewicz, skarbnik — Jerzy Arct, z-ca skarbnika — Mie-

czyślaw Idzikowski, sekretarz — Marian Schulz, członkowie Zarz. Gł. — Grażyna Bacewiczówna, Karol Borowski, Jerzy Bossak, Kazimierz Korcelli, Jerzy Morzyński, Ignacy Robb-Narbut, dyr. Czesław Ostrowski, red. Stefan Tabaczyński, Czesław Zak.

Walne Zgromadzenie powzięło m. in. następujące uchwały:

- 1) W sprawie zmiany nazwy Stowarzyszenia, które ma się odąd nazywać zamiast: Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców „Zaiks” — Stowarzyszenie Autorów, Kompozytorów i Wydawców „Zaiks”;
- 2) W sprawie organizacyjnego przynależenia Członków „Zaiku” do Funduszu Pośmiertnego „Zaiku”;
- 3) W sprawie uruchomienia od 1 września r. b. Biura Studiów Prawa Autorskiego (zamiast projektowanego Instytutu Prawa Autorskiego).

Wreszcie — z okazji Kongresu Związków Zawodowych, Walne Zgromadzenie „Zaiku” uchwaliło fundować bibliotekę dla jednego z związków zawodowych, który określi Rada Naczelna „Zaiku”.

TREŚĆ Nr 24

Paweł Hoffman — Walka klas czy walka gustów; Mauzio — Dwa listy Norwida; Stefan Żółkiewski — Puszkina i my; Zofia Lissa — Początek przelomu; Jerzy Zagórski — Wiersz o mieście; Adolf Sowiński — Lysogóry; Jadwiga Siewierska — Ludowość i pseudoludowość; Piotr Kępa — „Socialistyczny” organ burżuazji; Kandyd — Robotnicy na scenie teatralnej; Joanna Guze — Dzieła sztuki starożytnej w Muzeum Narodowym; Zasługi wydawców; Andrzej Nowicki — Marshalizacja czytelnictwa we Włoszech; Aleksander Jackiewicz — Dwie nowele; Przewgląd prasy; Noty; Stanisław Bruź — Moralność Pani Duńskiej.

W sprawie artykułu o czechosłowackim filmie kukielkowym

W związku z zamieszczeniem w numerze 10 (183) „Kuznicy”, poświęconym kulturze Czechosłowacji, artykułu A. M. Broussila, dziekana wydziału filmowego A. M. U. w Pradze pt. „O czechosłowackim filmie kukielkowym”, redakcja „Kuznicy” wyjaśnia, że w artykule tym dokonano ze względów redakcyjnych znacznych skróceń, wobec czego był on tylko informacyjnym skrótem tekstu nadanego redakcji przez autora.

ALEKSANDER JACKIEWICZ

GÓRNICY

Powieść

str. 188

cena 280 zł

1949

Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza

Henryk Mann oskarża

Znakomity powieściopisarz niemiecki Henryk Mann, przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych, opublikował w prasie niemieckiej artykuł, w którym oskarża władze amerykańskie i niemieckich przemysłowców o wspólne konszachty i zdradę narodu niemieckiego.

„Osadzono generałów, ministrów, dziennikarzy — pisze Mann — natomiast dla prawdziwych sprawców zbrodni, dla przemyślowców, nie znalazła się ani jedna szubienica. Nie mogła się zresztą znaleźć, ponieważ ludzi tych łączyły umowy ze zwycięzcami. Trusty światowe pomogły nałistowskiemu faszyzmowi. W Niemczech istniały od dawna 60 przedsiębiorstw amerykańskich a wojna zwiększyła tę ilość. Trusty pozostały sobie wierny, podczas gdy z obu stron ginęli żołnierze. Nie poczytano tego za zdradę stanu państwu pańującym, które poświęciły własnych i obcych ludzi dla zysku. IG Farben zarobiła na bombardowaniu niemieckich miast. Ich główny gmach w Frankfurtie nigdy nie był narażony na ataki bombowe.”

Pojęcie ojczyzny jest socjalistyczne. Trusty nie znają ojczyzny. Historia usunęła Hitlera, ale jego partnerzy pozostali. Pozostali ci, którzy byli pierwszymi sprawcami katastrofy. Obecnie stali się młodszymi partnerami zwycięzcy.”

Pożyteczna nowelizacja

W Turcji pracuje się obecnie nad nowelizacją kodeksu karnego, która ma go lepiej niż dotąd ubrać do walki z komunizmem. M. in. opracowano już trzy nowe paragrafy przewidujące karę więzienia dla założycieli związków mających na celu „podporządkowanie pewnej klasy społecznej innej klasie lub uciśnięciu jednej klasy społecznej przez drugą”.

O ile nam wiadomo — a wiadomo o tym niewątpliwie również uczonemu autorom wspomnianych paragrafów — obecny ustrój społeczny i polityczny Turcji posiada znamiona stawiające jego obrońców i rządczą klasę w oczywistej, jaskrawej kolizji z tymi paragrafami. W razie czego — tak integralnie przez nich zniewolony kodeks karny nie wymagalby już dalszej nowelizacji.

Rzecznik zachodniej „kultury”

Dr Hundhammer jest ministrem kultury w Bawarii, reprezentującym w rządzie partię katolicką. Jeśli dotychczas nie zajmował się tym tematem, to tylko z dwóch powodów. Po pierwsze szkoda nam było cenniejszego miejsca, po wtóre były inne, ważniejsze sprawy. Tym razem naprawiliśmy nasz błąd. Min. Hundhammer zabronił ostatnio wystąpienia w Monachium pematu taneźnego „Abaxax” Henryka Heinego z muzyką Wernera Egka. Zainterelowany w landtagu bawarskim, dlaczego depcze zasadę wolności sztuki, zezwalając równocześnie wystawić na monachijskich scenach obskurne widowiska z nagim tancerkami, Hundhammer odpowiedział: „Jako minister kultury mam obowiązek wobec historii Zachodu występować przeciw dziełom sztuki, które nie są zgodne z moimi poglądami katolickimi”. Wprawdzie i nie nam nie wiadomo, kiedy i w jaki sposób „historia Zachodu” udzieliła bawarskiemu ministrowi mandatu do reprezentowania kultury, ale jesteśmy przekonani, że genlusz Heinego, który przeżył Hitlera, przeżyje również jego bawarskiego naśladowcę.

Odpowiedź laureatowi

W numerze 23 (z 12.VI.49) „Tygodnika Powszechnego” prof. Konrad Górski wyraził mi wiele szlachetnych i osobistych inwektyw. Twierdzi, że musiał tak zrobić. Bardzo mi pochlebia, iż przedstawiciele obzo, do którego należy laureat biskupiej nagrody naukowej, czują mus atakowania mojej osoby.



Wedle prof. Górskiego nie mam ani kwalifikacji ani prawa pisać o sprawach polnitych. Wyraża tu Pan Profesor starą ideę — już przez Bona Zelańskiego zgromioną — że w sprawach nauki zabierać mogą głos tylko członkowie klanu. Taka zasada co prawda ubezpiecza przed krytyką, ale nie jest słuszną (vide polemika Bona z prof. Kucharskim). Czy mam kwalifikacje do mówienia o polnitych i naukach humanistycznych, niechże sądzi moi czytelnicy po słuszności moich wypowiedzi. Działając jako publicysta tylko — nie mam według prof. Górskiego prawa mówić o sprawach nauki. Publicystyka zdobyła sobie do dobre prawo już tak dawno, że chyba mi prof. Górski pozwolił czasem tam swoje zdanie napisać. Zwłaszcza, że tylko publicystycznie. Wedle prof. Górskiego tylko wtedy zdobylibym to prawo, gdybym przestał się „rozmiemniać na drobne publicystyki”, a pisał natomiast prace naukowe.

Na wszystko, Profesorsze, przyjdzie swój czas. W tych gorących latach trzeba było zajmować się publicystyką. I cóś tam chyba zdziałalem pracą w „Kuznicy” w życiu umysłowym kraju. I może trochę i ten mój skromny wkład zdecydował, że się ci i owi teraz zbiorą do pracy naukowej, badawczej.

Noty

Domyślałem się, dlaczego profesorowi Górskiemu potrzebna jest tak swoista selekcja piszących o nauce. Jaki to typ „naukowości” reprezentuje prof. Górski, do widła jego książki „Poezja jako wyraz”. Zyskała sobie tak szybko tak jedno-myślną opinię w świecie umysłowym, tak zadokumentowaną drugoczący recenzjami, że niepokój prof. Górskiego nikogo nie zadziwi. Niepodobna jest polemizować merytorycznie z artykułem prof. Górskiego. Dlaczego? Zda sobie sprawę ten, kto go przeczyta. A warto — to cacko przeczytać! Taki to jest konkursowy wódr kultury umysłowej, jejalcini argumentacji i po prostu zdrowego sensu.

Chciałbym rozproszyć natomiast dwa nieporozumienia, które nie dotyczą tylko mojej osoby:

1) twierdzi prof. Górski, iż byłem „tolerancyjny” — a stałem się po wojnie „jednostronny”. To się nazywa krystalizacją poglądów, Panie Profesorsze.

Prof. Górski uważa, iż walczą o dominację pewnego typu problematyki w badaniach polnitych. Nieprawda, w stosunku do problematyki (filologicznej, biograficznej, historycznej itd.) jestem nadal tolerancyjny. Walczą natomiast o postępowy marksistowski światopogląd naukowy i jego metody badawcze w naszej polnityce. Destrzeganie w metodologii marksistowskiej tylko upierania się przy jakiejś jednej i równoprawnionej zasadniczo z innymi problematyce — to ignorancja.

2) Kiedyś — przed 12 laty — pisałem, iż nie metodologia rządzi rozwojem nauki, ale historia. Prof. Górski godzi się z tym sądem, ale dodaje, że nie historia polityczna, ale historia nauki. I wtedy sądziłem i dzisiaj sądzę, Panie Profesorsze, że nie ma izolowanej historii nauki. Rozwojem nauki rządzi po prostu historia, historia społeczna (a więc i ta historia polityczna). A teza o izolowanej „historii” nauki jest podstawą także nienaukowej roboty w polnityce.

Prof. Górski twierdzi, iż 12 lat temu, drukując swoją rozprawę, nie umiałem pisać. Mój Boże, czyż chrześcijański obowiązek i miłość bliźniego nie każeły Panu — Profesorsze, laureacie biskupów i prałatów — przyznać biednemu publiczności, że się prawie po 12 latach co nieco pisać nauczyłem?

Skarżypytą

Trudno, księciu! to nie tylko ksiądz, i nie tylko kościół i nie tylko nawet myszka kościelna, ale i ów szkolny skarżypytą, donoszący księdzu prefektovi, że ktoś na innej lekcji coś złego powiedział. Ba, gdyby tylko donosił! On jest na tyle chytry, że potrafi zniekształcić cudze słowa, byle tylko znaleźć w nich jakąś winę.

Spojrzyj na konkretny wypadek. „W jednym z ostatnich numerów „Kuznicy” opublikowałem notę pt. „Filologia klasyczna w ZSRR”. Ta właśnie nota została zaczepiona przez „Tygodnik Powszechny” w numerze 23 tego pisma. Zaczepione mianowicie zostało następujące zdanie: „... grupa studentów na Uniwersytecie Moskiewskim pracuje nad przekładem kroniki Jana Długosza, o czym nikt u nas nie zdecydował się pomyśleć” (podr. „Tyg. Powsz.”) Autor notki polemicznie zarzuca mi nieuczucie, gdyż kronika Jana Długosza została już przetłumaczona przez Karola Mecherzyńskiego, a przekład ten wydał w zbiorowym wydaniu pism Długosza Aleksander Przeździecki. „Gdzie, kiedy?” — pisze „polemista” — niech rektor „Kuznicy” potrudzi się poszukać!

Ładny rebus dla czytelnika. Niech i czytelnik — mówiąc „wybornym fonetycznie stylem polnity”, „potrudzi się poszukać”. Ale niech się jednak czytelnik lepiej nie truci, bo zupełnie nie o to chodzi.

Karol Mecherzyński, ógł profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, a rodzony wuj Stefana Zeromskiego, umarł nie dalej niż gdzieś w latach 70-tych ubiegłego stulecia (niech rektor „Tygodnika Powszechnego”, „potrudzi się poszukać” roku, dnia i godziny), absolutnie więc nie pasuje do zacytowanego zdania, bo określenia „u nas” z zasady nie stosuje się dla połączenia w jedną epokę żywych i nieboszczyków, a zwłaszcza nieboszczyków tak dawnych. W mojej notce chodziło po prostu — i to zgodnie z doświadczeniem zacytowanego zdania oraz z intencją całego kontekstu — o pdjęcie współczesnego wyśliku, dzięki któremu powstałby współczesny przekład kroniki Jana Długosza. Łatwym do sprawdzenia chociażby u Korbuta pożyczkami bibliograficznymi odnieć Długosza w mojej notce nie zajmowałem się w ogóle. To tylko skarżypytą z Okopów św. Trójcy, poprzeczając faktom swoim rzekomym komentarzem.



I on właśnie wykazał ponadto prawdziwy brak orientacji, jak mało przydatne dla szerokiego ogółu są przestarzałe tłumaczenia pomników historii, a jak potrzebne i puczające są przekłady współczesne. Zaskodził sprawie, zamiast ją poprzeć.

I rozmawiaj tu z takim Mecherzyńskim! ads

Circenses w USA

Miejsce akcji: Stany Zjednoczone. Rzecz dzieje się w cyrku dużego miasta prowincjonalnego. Według opisu prasy amerykańskiej ciou przedstawienia cyrkowego to scena pantomimiczna, która wywołuje entuzjazm publiczności.

Zaczyna się od przemarszu pięćdziesięciu zgrabnych dziewcz, które rozbiegają się w takt orkiestry jazzowej, aby olinić widownię barwnymi majteczkami i biustonoszami. Polem artystki wykonują karkołomne ewolucje na trapezach wokół wielkiego portretu Harry Trumana. Po chwili wbiega na arenę jeszcze 50 girlsów udekorowanych w barwy narodowe, a za nimi stado słoń, na którym wznosi się olbrzymi sztandar z napisem: „Kraj odwanych i wolnych ludzi”. Równocześnie kopulę cyrku zakrywa obłok różnokolorowych baloników i orkiestra wykonuje tuz p. t. „Kocham tak bardzo Harry'ego” (najnowszy szlager amerykański). Wszystko to kończy się wspaniałym finałem. Słonie, udając omdlenie, kładą się na arenę. Jeszcze raz orkiestra, entuzjazm, szal i niemilknięca brawa.

Zostawny ludzi w spokoju. Ale słogiel Toć to rozumie zwierzęta. One chyba nie udają, lecz naprawdę mdleją.

rk.

Generalska troska o szkolnictwo

Pisałiśmy już swego czasu w „Kuznicy”, że marksizm w zastraszający (dla burżuazji) sposób szerzy się w amerykańskim szkolnictwie wyższym i średnim. I oto, jak donosił niedawno Reuter, dwudziestu luminarzy nauki w USA z prezydentem (rektorem) uniwersytetu Columbia, gen. Eisenhowerem na czele ogłosilo memoriał na temat stosunku oświaty amerykańskiej do marksizmu. Obrońcy nauki amerykańskiej żądają m. in. — zgodnie z zasadami Wielkiej Demokracji dolarowej — usunięcia ze stanowisk pedagogicznych wszystkich członków i zwolenników partii komunistycznej oraz wprowadzenia w szkołach specjalnego przedmiotu, który można by nazwać apolologiczną antykomunistyczną. Głównym zadaniem takich wykładów byłyby przeciwstawienie komunizmowi wniesionych zasad tzw. amerykańskiego sposobu życia (the american way of life) czyli kapitalizmu. Dodajmy, że od dłuższego już czasu (z grubszą białą, od śmierci Roosevelta) z amerykańskich szkół wyższych raz po raz usuwa się profesorów-marksistów, znów w myśl wolnościowych ideałów demokracji burżuazyjnej.

Można by tu rektorowi w generalskich szlifach przypomnieć jeden z (mimo znacznych w Europie) objawów „amerykańskiego sposobu życia”. Dowiedzieliśmy się o nim z artykułu tegoz generała Eisenhowera, spopularyzowanego m. in. przez skrajnie reakcyjny „Readers Digest”. Pisał mianowicie pan generał, że od roku 1940 porzucił swój zawód z górą 350 tysięcy nauuczycieli amerykańskich, zamknięto ponad 6 tysięcy publicznych szkół powszechnych, a w jednej klasie wypadła na jednego nauczyciela 58-60 dzieci. Przytaczano: „nedarskie uposażenia nauczycieli, którzy dorabiają na „amerykański sposób życia” najgorzej płatnymi robotami wszelkiego rodzaju i gdy tylko mogą, uciekają z szkolnictwa. Nic dziwnego, że generał Eisenhower z takim lękiem obserwuje szerzenie się marksizmu w szkolnictwie amerykańskim.”

Zasługi wydawców

Trzeci tom Balzaca ukazał się nakładem „Książki i Wiedzy” w ciągu ostatnich kilku tygodni. Po „Kawalerskim gospodarstwie” i „Muzeum z zającami” otrzymałmy „Kuratele” — tom obejmujący kilka mniejszych utworów, m. in. „Facino Cane”.

Z klasycznymi literatury rosyjskiej nie dzieje się tak szczęśliwie. Tu ilość pozycji wciąż jest minimalna. W tych warunkach za obaw pocieszający należy uznać wydanie przez „Czytelnika” (Bibl. Romanów i Powieści, t. 35) „Oles” Kuprina w przekładzie Ziemowita Fedeskiego. Kuprin, zmarły w roku 1936, reprezentuje w przedrewolucyjnej literaturze rosyjskiej swoiste wartości, zwłaszcza jako twórca krótkich opowiadań. W Polsce był znany raczej jako autor „Jam”.

„Tygodnik Powszechny” w ostatnim numerze piórem p. ck. protestuje przeciwko wydaniu „Dekameron” i „Manon Lescaut”, uważając, iż są to pozycje nie nadające się do masowego upowszechnienia. „Tygodnik” jest zdania, że ponieważ nie wznawiono jeszcze Mollera, Stęskpiry Goethego i innych tych dawanie pierwszeństwa „Dekameronowi” i frywolnemu księdzu Prevost nie jest słuszne. Według mnie zastrzeżenia p. ok. nie są słuszne. „Dekameron” jest arcydziełem prozy renesansowej, „Manon Lescaut” powstała w libertyńskim wieku XVIII. Obie książki traktują o sprawach bardzo ludzkich, o czym zapewne nie muszę przekonywać p. ok. Byłoby nonsensem, gdyby ze względu na niezdrową pruderię objawianą przez p. ok. powstrzymywano wydanie tych klasycznych utworów dlatego, że nie mamy jeszcze Goethego i Mollera. Ale obawiam się, że i Stęskpir, i Molier, i Goethe, a także i wymieniony Tolstoj również będą rzekli pruderii p. ok. Literatura, wielka literatura, mówi bowiem o człowieku pełnym, z wszystkimi jego pasjami, namiętnościami, wadami i zaletami. P. ok. — sądząc z pisma, w którym zamieszcza swoje uwagi — zgadza się natomiast z tym poglądem, który radby człowieka podzielić na pół — i jednajstrzeję potępić jego żywe ciało. Niestety — wielka literatura zajmowała się zawsze człowiekiem żywym. Przewstrzegając przed „Dekameronem” i żądając Mollera czy Stęskpiry, p. ok. nie zdaje sobie chyba sprawy, że walczy i tylko o nazwiska. Boccaccio bowiem, i Molier, i Stęskpir, są z tej samej rodziny. Boże, uchwyć nas przed planem wydawniczym ułożonym przez p. ok. pod auspicjami kurii metropolitalnej!

ph.

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413 IV p. tel. 4-01-80, w. 45.

Adres administracji Wiejska 12.

Warunki prenumeraty: Miesięcznik 80.—; kwartalnie 240.—; półrocznie 480.—; rocznie 960.— Należność za prenumeratę należy wpłacać do PKO I 10900. Adres prenumeraty: Warszawa Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Warszawa, ul. Marszałkowska 8/5

B-80203